Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 118 (Rok VIII, Nr 1) Styczeń, 1948 Cena (Price) 2/-

NARÓD OSKARŻONY O ISTNIENIE

RÓWNO rok temu, w styczniu 1947, zamykał się w Polsce okres złudnych nadziei na polityczną emancypację naszego narodu, poddanego — w obcych trybach — t.zw. "łagodnej rewolucji." Inspiratorzy tych poczynań — rząd Rosji Sowieckiej — od września 1939 roku starali się wydatnie, by ta "rewolucja" nie była łagodna, ani w jakiejkolwiek mierze związana z dążeniami którejkolwiek z polskich warstw społecznych. Milionowe straty, poniesione od uderzeń sowieckiego aparatu policyjnego, znalazły bolesną dla Polski kontynuację w istnieniu i działalności sfałszowanej państwowości polskiej, kierowanej przez agentów Moskwy.

Przez dwa lata trwało to oszustwo, pod pozorem tymczasowości do chwili przeprowadzenia "wolnych i nieskrępowanych wyborów". Klauzula ta pozwoliła na upozorowanie Jałty, na zainstalowanie aparatu wrogiego narodowi polskiemu, na nieustanne prześladowanie Polaków przez ich własne, rzekomo, władze. W styczniu jednak 1947 roku stało się jasne nawet dla tych, którzy niczego przez dwa lata nie rozumieli, że dekoracja patriotyczno-państwowa jest i ma pozostać jedynie dekoracją, za którą wyszkoleni reżyserzy prowadzić będą dalej dzieło tępienia żywych sił narodu.

We wszystkim, co się na ziemiach polskich dzieje, jest jeden logiczny plan, realizowany od dnia układu między Hitlerem i Stalinem z końca sierpnia 1939 r. W planie tym leżała akcja sowiecka w latach 1939-1941, deportacje i masowe prześladowania na ziemiach wschodnich, potem działalność t.zw. Związku Patriotów w Moskwie, założenie oddziałów Berlinga, Komitet Lubelski — wreszcie rządy Bieruta. Nadprogramową zdobyczą było zjawienie się kilku polityków z p. Mikołajczykiem na czele. Od ich powrotu prześladowanie i paraliżowanie narodu polskiego zyskało tak ważny dla Sowietów pozór akcji przeciwko t.zw. nieprzejednanym i awanturniczym elementom w Polsce. Samo istnienie takich instytucji jak prasa, jak szczątki opozycji, utrzymywanie stosunków dyplomatycznych z narodami Zachodu i prowadzona z wielkim wysiłkiem propagandy reklama "stabilizacji" stosunków w Polsce — wszystko to ułatwiało tępienie społeczeństwa. Z czymże bowiem ci szaleńcy chcieli się jeszcze borykać, z kim walczyć, na co czekać? Metodą odwracania pojęć, chwytem stosowanym bez przerwy przez Sowiety, z patriotyzmu zrobiono — zdradę, z idei — służbę obcym agenturom, z bohaterstwa — sprzedawanie usług. Na wzorach moskiewskich, wydoskonalonych w komunistycznym "wymiarze sprawiedliwości", uczono zespół zdrajców — "prokuratorów", "sędziów" — jak kaleczyć samo pojęcie wymiaru sprawiedliwości i niszczyć "wrogów ludu". Aż zimno się robi na myśl, że cała ta akcja sygnowana była pozornym choćby współrządzeniem przez tych polityków, którzy do dziś jeszcze nie mogą przełknąć słowa: *błąd*.

Nieustanne czynności organów policyjnych, mobilizacja setek tysięcy ludzi do walki z narodem polskim trwają od chwili objęcia władzy przez Komitet Lubelski. Szczególne miejsce w owej akcji poświęcono tej części społeczeństwa, która w próbie wojny okazała się elementem najtwardszym do złamania, tej, która była gotowa na wszelkie ofiary i poświęcenia dla ratowania wolności i zapewnienia przyszłości swemu narodowi. Dlatego to od razu, bez dekoracji "sądów", okupant sowiecki deportował w głąb Rosji tysiące ludzi, którzy brali udział w akcji podziemnej przeciw Niemcom, ludzi, którzy nawet Armii Czerwonej, jako aliantowi naszych aliantów, oddali olbrzymie usługi. Specjalną zaś rolę w tych planach wymierzonych przeciw Polsce miały grupy i ośrodki polityki polskiej w kraju, oraz ta część społeczeństwa, która politykę polską wspierała, lub brała w niej czynny udział. Stronnictwo Narodowe było głównym trzonem polityki polskiej w czasie ostatniej wojny — i to zarówno w organizowaniu zbrojnych sił oporu, jak w uodpornianiu społeczeństwa przeciw infiltracji obcego, wrogiego czynnika komunistycznego.

Zdajemy sobie sprawę z tego bolesnego rekordu strat; wiemy jednak, że ciosy w Stronnictwo były jednocześnie uderzeniami w główne pozycje obronne polityki polskiej, pozycje dotychczas nie zdobyte. Stronnictwo to bowiem działało na społeczeństwo tym, co w walce fizycznej jest najtrudniejsze do pokonania: ideą. Podczas wojny i okupacji niemieckiej, po największych okresach terroru — spoistość i liczebność organizacji rosła, na miejsce poległych zjawiali się następni. Podobnie rzecz się ma dziś — w okresie walki bezorężnej, walki o duszę i przyszłość narodu. Idea, o którą walczą narodowcy w kraju, jest zbyt wielka, żeby mogła ulec zagładzie pod uderzeniami wroga. W szkole bowiem narodowej uczono ludzi nie zdobywania laurów i spokoju, lecz sztuki poświęceń i pracy dla Ojczyzny. Wizją narodowców jest Polska naprawdę wolna, o niekłamanej wolności, i naprawdę sprawiedliwa według norm sprawiedliwości chrześcijańskiej, a nie kanibalskiej. Idea ta — to granica między światem ludzi wolnych a mrokiem azjatyckiej niewoli, między naszą cywilizacją a nawrotem Hunnów.

Ludzie ze Stronnictwa Narodowego, przeciw którym kieruje się dziś jawna fala prześladowań, wiedzą o co walczą. Tępienie narodowców towarzyszyło początkom reżimu komunistycznego w Polsce. Były jednak okresy starannego ukrywania tej akcji, prześladowania bez jednej wzmianki w prasie. Do zjawisk paradoksalnych należy zaliczyć fakt przemilczania walki ze Stronnictwem także przez codzienną prasę na emigracji, gdzie było równie cicho, gdzie formalności "obowiązku dziennikarskiego" czyniono zadość wzmianką kilkuwierszową; działo się to w tym samym czasie, kiedy przeróżne manewry z fałszywymi socjalistami Osóbki-Morawskiego, lub posunięcia p. Mikołajczyka zajmowały pierwsze strony pism, przeznaczonych na informowanie Polaków o położeniu w kraju.

Dopiero teraz, kiedy widowisko sowieckich procesów z całą ich "polską" scenerią nabrało jawnego rozgłosu — dowiaduje się o rozmiarach tej akcji wychodźstwo. Okres, w którym procesy polityczne stały się główną treścią doniesień z Polski, przypada na jawne instalowanie ustroju komunistycznego i jawne

wiązanie reżjmu Bieruta z dyspozycjami Moskwy. Dekoracje demokratyczne, wachlarze polityczne z udziałem błądzących po omacku polityków — zostały porzucone jako nieprzydatne. Sprawa stała się jasna: z jednej strony nieprzyjaciel działający narzuconym aparatem walki, z drugiej strony cały naród, trwający w postawie przywiązania do swej idei i wartości wystawionych na zniszczenie. Nic dziwnego, że w tym okresie jawnie przystąpiono do ataku frontalnego na tę część społeczeństwa, która nigdy nie miała złudzeń i która od początku wiedziała o co rzecz idzie. Walka ze "szkołą Dmowskiego", to cios w duszę społeczeństwa, rzeźbioną przez trzy pokolenia zmagań o polski wyraz w polityce, w kulturze, w życiu codziennym. To walka z tą częścią, która pojęła wartość i ciężar wyznania: *Jestem Polakiem.*

Prześladowaniu ulegają ludzie ze Stronnictwa Narodowego za przedwojenną i wojenną działalność, za tę, która w niedawnej historii tworzyła syntezę żołnierza i obywatela, świadomego celów konkretnych, namacalnych, nie zaś aforyzmów, formułowanych z okazji uroczystości. Cele te obejmują wolny naród, zorganizowany w nowoczesne państwo, sprawiedliwe dla wszystkich obywateli, społeczeństwo współżyjące z innymi narodami dla spełnienia Boskich zadań na ziemi.

Idea ta nadal ogarnia wszystko, co w narodzie jest zdrowe, niepodległe i niezłamane. Mimo ciosów, zadawanych przez długie lata wojny i tego okresu, który nie jest ani wojną ani pokojem, naród nasz w olbrzymiej większości pozostał zdrów i niezłamany. Dlatego wierzymy w przetrzymanie i tych ciosów, które z ukrycia, czy jawnie — na salach fałszywych sądów i z fałszywych wyroków — zadaje nieprzyjaciel. Coraz to w oświadczeniach zachodnich mężów stanu i w prasie spotykamy słowa o organizowaniu oporu przeciw zalewowi komunistycznemu. Mówi się o granicy na Łabie, o bloku zachodnim, o pomocy gospodarczej. Nie mówi się zaś o tym oporze, który tak bardzo jest istotny dla obrazu przyszłości — o bohaterskiej i samotnej walce narodu polskiego i jego świadomych ośrodków politycznych, którym wróg wydał wojnę — przed laty.

ROZBICIE WIELKIEJ TRÓJKI

Zgodnie z najbardziej pesymistycznymi przewidywaniami zjazd ministrów spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych,Brytanii, Rosji i Francji zakończył się zupełnym niepowodzeniem. Nie ustalono nawet czy i kiedy nastąpi przyszłe spotkanie. Nie załatwiono ani jednej sprawy.

Bezpośrednim skutkiem rozbicia konferencji londyńskiej jest utrwalenie podziału Niemiec na wschodnie i zachodnie, jak również związanego z tym podziału Austrii. Symbolicznego niejako znaczenia nabiera, że Austria, której niepodległość była pierwszym punktem uzgodnionym w Teheranie, w trzecim roku po wojnie pozostaje nadal pod okupacją tych właśnie mocarstw, które uchwaliły jej niepodległość.

Dalszym skutkiem rozbicia konferencji będzie uzgodnienie polityki angielskiej, amerykańskiej i francuskiej w Niemczech i wyłonienie przez te państwa jakiegoś wspólnego zarządu. Najdalszym i najważniejszym skutkiem jest rozejście się ostateczne polityki Wschodu i Zachodu, które, formalnie czy też nie formalnie, prowadzić musi do likwidacji UNO jako organizacji powszechnej.

Mołotow przyjechał na konferencję tylko po to, aby ją rozbić. Jeżeli przed tym ciągnął obrady przez kilka tygodni, to robił to w celu zupełnie określonym. Jego przemówienia, oskarżające państwa zachodnie o najbardziej nieprawdopodobne przestępstwa i powtarzające dawno odparte zarzuty, były drukowane w Berlinie zanim jeszcze zdążył je wygłosić i kolportowane w Niemczech wschodnich w dniu ich wygłoszenia. Jest to odwieczna tradycja dyplomacji azjatyckiej, by wykorzystywać rokowania polityczne dla zewnętrznej demagogii, a demagogii używać jako formy nacisku dyplomatycznego, przy czym nie bierze się zupełnie pod uwagę prawdy, ani rzeczywistych faktów. Inaczej mówiąc p. Mołotow nie zmarnował swego czasu w Londynie, gdyż pracował tam ciężko, jako udarnik propagandy na sektor niemiecki.

PO KONFERENCJI LONDYŃSKIEJ

Konferencja londyńska czterech ministrów spraw zagranicznych miała stać się momentem przełomowym w ustosunkowaniu się mocarstw zachodnich do Rosji — przynajmniej w zakresie zagadnienia niemieckiego. Nie tylko oficjalne czynniki amerykańskie, ale i min. Bevin, zazwyczaj znacznie ostrożniejszy w swych wystąpieniach, zapowiadał wyciągnięcie z dalszego oporu sowieckiego konkluzji szybkich i radykalnych, przy czym ogólnie rozumiano pod tym utworzenie osobnego państwa zachodnio-niemieckiego, które w ciągu niedługiego czasu uzyskałoby pozycję pełnoprawnego członka "wspólnoty atlantyckiej".

Konferencja londyńska — jak zresztą powszechnie przypuszczano — do niczego nie doprowadziła i w pewnym momencie została po prostu bezceremonialnie ucięta przez amerykańskiego sekretarza stanu, gen. Marshalla. Nastąpiły po tym ze strony anglosaskiej znane oświadczenia, zrzucające pełną odpowiedzialność za niepowodzenie obrad na Sowiety — równocześnie zaś prasa sowiecka obciążyła tym samym zarzutem Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. Wszakże jedyną — jak dotąd — poważniejszą reakcją Zachodu było urzędowe stwierdzenie Waszyngtonu, że wstrzymuje dalsze dostawy dla Sowietów ze swej strefy, przewidziane w układzie reparacyjnym. Oświadczenie to niczego zresztą faktycznie nie zmieniało, gdyż dostawy te wstrzymane były już od szeregu miesięcy. Rząd brytyjski do oświadczenia amerykańskiego się nie przyłączył, podkreślając w ten sposób, że mimo wszystko nie uważa jeszcze układu poczdamskiego za całkowicie nieważny. Co więcej, min. Bevin wystąpił z nowym apelem do "przyjaciół na wschodzie", sugerując, iż możliwości współpracy nadal jeszcze istnieją. Bezpośrednio zaś po Bożym Narodzeniu, dnia 27 grudnia, podpisany został traktat handlowy brytyjsko-sowiecki, przygotowany uprzednio ze strony angielskiej przez p. Harolda Wilsona, prezydenta *Board of Trade.*

Stanowisko brytyjskie znajduje pewne wyjaśnienie w fakcie, że Londyn pragnie być co najmniej o krok w tyle za obecną polityką Waszyngtonu i unika wszystkiego, co mogłoby być uważane za silniejsze angażowanie się przeciw Sowietom. W tym zakresie na politykę Bevina wpływ ma niewątpliwie zarówno poczucie większej *vulnerability* W. Brytanii w dziedzinie militarnej i politycznej, jak i, w pewnym przynajmniej zakresie, doktryna "neutralności", głoszona przez wpływowe koła zarówno w łonie Labour Party.jak i Stronnictwa Konserwatywnego.

ZANIECHANA KONCEPCJA

Wszystko to prawda — lecz i Departament Stanu, jak do tej pory, żadnych ostrzejszych posunięć w kwestii niemieckiej nie podjął. Przeciwnie, jak się zdaje, oba mocarstwa anglosaskie doszły do wniosku, że formalne powołanie do życia państwa zachodnio-niemieckiego byłoby krokiem przedwczesnym i niebezpiecznym — i dlatego z niego zrezygnowały.

Przyczyniła się do tego prawdopodobnie zręczna gra Mołotowa, który przez cały czas konferencji londyńskiej nie przestawał powtarzać, że państwa zachodnie są wrogami jedności Niemiec, o którą natomiast zabiega i walczy Związek Sowiecki. Wystąpienia te skierowane były wyraźnie w stronę społeczeństwa niemieckiego, wysuwały pod jego adresem różne sugestie i ich efektu żadną miarą nie należy lekceważyć.

Słusznie Walter Lippmann w jednym ze swych niedawnych artykułów w *New York Herald Tribune* (włączonym później do zbioru wydanego osobno p.t. *The Cold War*) podkreślił, że w sprawie niemieckiej Rosja, wbrew wszelkim pozorom, ma pozycję silniejszą od mocarstw anglosaskich. Tylko bowiem Sowiety mogą Niemcom dać zjednoczenie narodowe przez zgodę na połączenie strefy sowieckiej z resztą Niemiec, a nawet oddać im całość lub część obszarów, wcielonych do Polski i Z.S.S.R., — w razie zaś gdyby nie chciały tego uczynić mogłyby odszkodować Niemców w inny sposób, np. przez przyłączenie Austrii. Państwa zachodnie bez wojny zjednoczenia Niemiec dokonać nie są w stanie — natomiast na dłuższą metę nie mogłyby się przeciwstawić zjednoczeniu, dokonanemu w wyniku porozumienia odpowiedzialnych polityków niemieckich z Moskwą.

Lippmann w tym rozumowaniu za mało może docenia pewne czynniki współdziałające, zasadnicza jednak linia jego argumentacji jest słuszna — i wydaje się, że utworzenie przez Anglosasów państwa zachodnio-niemieckiego mogłoby istotnie ułatwić grę sowiecką, uprzytamniając jeszcze wyraźniej Niemcom, kto jedynie usunąć może obecne ich rozdarcie terytorialne. Drugą okolicznością, która musiała zniechęcić państwa zachodnie do tej koncepcji, była niewątpliwie obawa, że mogłoby to utrudnić lub nawet uniemożliwić utrzymanie się ich w Berlinie. Czynniki sowieckie użyłyby bowiem niechybnie argumentu, że skoro Poczdam został ostatecznie przekreślony, a stolicą państwa zachodnio-niemieckiego stał się Frankfurt czy inne miasto w jednej ze stref zachodnich, układ w sprawie podziału Berlina na cztery odcinki stracił wszelką podstawę.

Zaniechanie, na obecny przynajmniej okres, koncepcji utworzenia państwa zachodnioniemieckiego nie oznacza oczywiście, by nie miały być poczynione dalsze kroki w kierunku unifikacji stref zachodnich Niemiec. Dotychczasowa anglo-amerykańska "Bizonia" zamieni się prawdopodobnie po przyłączeniu strefy francuskiej (co jeszcze natrafia na trudności) w "Trizonię", przy czym utworzona będzie jakaś namiastka rządu niemieckiego, wyposażanego stopniowo w coraz szersze kompetencje.

Niemniej w sprawie niemieckiej osiągnięty został stuprocentowy *deadlock,* bo i strona sowiecka w obecnych warunkach nie chce

ryzykować jakichś gwałtowniejszych posunięć. Jedynym rezultatem konferencji londyńskiej jest ostrzejsze jeszcze uwydatnienie linii, rozłupującej Europę wzdłuż Łaby.

KONIEC STRAJKU WE FRANCJI

Fala strajków organizowanych przez komunistów we Francji zakończyła się załamaniem. Generalna Konfederacja Pracy przyjęła warunki rządowe, które uprzednio odrzucała, i odwołała strajki, niezbyt nawet "ratując twarz" w końcowej proklamacji. Przyczyna klęski komunistów jest podwójna. Strajki zaczęły się załamywać same, gdyż komuniści przeciągnęli strunę. Z drugiej strony wszakże akcja strajkowa była od początku skazana na niepowodzenie. Nie należy też przypuszczać, by przywódcy komunistyczni we Francji spodziewali się jej powodzenia, tzn. by przypuszczali, że tą drogą dojdą do władzy. Gwałtowny rozwój organizacji gen. de Gaulle i jej zwycięstwo w wyborach samorządowych przekreślały możliwość legalnego dojścia do władzy komunistów, a równocześnie wskazywały, że próba dojścia ich do władzy drogą zamachu stanu napotka na gwałtowny opór i wywoła wojnę domową w pełnym tego słowa znaczeniu.

Wojna domowa we Francji nie mogłaby obyć się bez interwencji obcej, a wówczas powstałoby ogromne ryzyko wybuchu trzeciej wojny światowej. Jasne więc jest, że komuniści francuscy nie mogli pójść w tych warunkach na wywołanie rewolucji bez zgody Kremla. Rosja nie uznała, by nadszedł czas na zawieruchę światową. Cały zatem okres strajków i rozruchów we Francji z punktu widzenia sowieckiego miał na celu jedynie dywersję w okresie konferencji londyńskiej i uchwalania planu Marshalla przez Kongres amerykański. Dodatkowe jego znaczenie polegało na wyładowaniu nastrojów dołów komunistycznych we Francji, które były już nieco zbyt rozgrzane i mogły doprowadzić do poważniejszego wybuchu. Nieudane strajki odegrały rolę dywersji i zarazem piorunochronów. Koszty ponosi nie partia komunistyczna francuska, ale cała Francja.

Centrum francuskie tj. socjaliści i MRP umocnili przez to niepowodzenie komunistów swoją pozycję. Nauczeni doświadczeniem centrum niemieckiego wystrzegali się oni starannie wytworzenia sytuacji, w której jedyną nadzieją przeciwników komunizmu stałby się de Gaulle. Przedłuża to znacznie okres trwania rządów tzw. trzeciej siły.

Trudno przewidzieć, jaki będzie dalszy rozwój sytuacji we Francji i w jakim stopniu wpłynie na nią uchwalenie pomocy finansowej przez Stany Zjednoczone i rozbicie konferencji londyńskiej. Z przebiegu kryzysu wynika jasno jedna wskazówka: Sowiety nie czują się na siłach w bliskim czasie do zaryzykowania rozprawy orężnej z Ameryką.

SOWIETYZACJA BUŁGARII

Drobnymi krokami, lecz prosto do celu zmierza polityka sowiecka w okupowanej przez Rosję części Europy. Czytelnik prasy codziennej na Zachodzie nie dostrzeże w ogóle tych pozornie drobnych faktów, których cały łańcuch daje dopiero właściwy obraz. Ostatnio np. o krok naprzód posunięto sowietyzację Bułgarii. Do tej pory Bułgaria miała ustrój republiki demokratycznej typu zachodniego. Obecnie wprowadzono ustrój sowiecki oparty na wielostopniowych radach, gdzie rząd wybierany jest przez ciało przedstawicielskie. W ten sposób niepostrzeżenie przygotowuje się upodobnienie republik Europy Środkowej do republik wchodzących w skład Związku Sowieckiego.

PODZIAŁ PALESTYNY

W okresie ostrego sporu amerykańsko-sowieckiego na jednym tylko odcinku, lecz odcinku sporego znaczenia, nastąpiło porozumienie między tymi dwoma mocarstwami. Oba zgodnie zadecydowały o konieczności podziału Palestyny i utworzenia niepodległego państwa żydowskiego na części jej terytorium. Nowy ustrój Palestyny ma wejść w życie w roku bieżącym.

Palestyna leży w punkcie niemal tak ważnym obecnie dla Stanów Zjednoczonych jak niegdyś dla Anglii. Stany są zainteresowane w najwyższym stopniu w rozległych i dotąd jeszcze w pełni nie wykorzystanych polach naftowych Persji, Mezopotamii i Arabii. Zrażenie sobie świata arabskiego może mieć dla Amerykanów poważne następstwa. Z drugiej strony dla Sowietów najsilniejszym taranem do rozbicia systemów imperialnych Anglii i Francji mógłby być świat arabski. W tych warunkach zachodzi pytanie, czy zgoda Sowietów na podział Palestyny jest chwilowym manewrem taktycznym mającym na celu powiększenie w przyszłości fermentu, czy też ma jakiś trwalszy charakter. Za tym ostatnim przemawiałoby stanowisko polityków syjonistycznych. Nie mogą oni liczyć na okupację Palestyny przez wojska amerykańskie, bardziej więc prawdopodobne jest, że liczą na utrzymanie *treuga Dei* między mocarstwami na tym odcinku.

AUTORYTET GHANDIEGO

Wbrew obawom ani zajścia w Pendżabie, ani wojna domowa w Kaszmirze nie przekształciły się dotychczas w ogólno-indyjską pożogę. Sugestia opinii brytyjskiej, że wycofanie się Anglików z Indii musi wywołać tam chaos, nie okazuje się, jak dotąd, słuszna.

Prasa szwajcarska zwraca uwagę na mało znaną, ale decydującą rolę, jaką w uspokojeniu umysłów i doprowadzeniu do kompromisu odegrał wpływ Mahatmy Ghandiego. W krytycznym momencie politycy obu stron uciekli się do jego pośrednictwa. Lokalna wojna domowa nie przekształciła się w ogólny konflikt.

PAKT MIKOŁAJCZYK — ROZMAREK

20 grudnia ogłoszony został przez rozgłośnię amerykańską *Voice of America* fakt zawarcia paktu politycznego między Kongresem Polonii Amerykańskiej a P.S.L. Ściśle biorąc jest to układ między p. Stanisławem Mikołajczykiem a K. Rozmarkiem. Pakt ten mówi o ogólnej współpracy politycznej, przy czym Mikołajczyk w sposób znamienny pomija sprawę ziem wschodnich. Przypomnieć warto w tym miejscu, że nie dalej niż przed trzema tygodniami jedno z pism polskich opublikowało list p. Rozmarka, w którym o możliwościach amerykańskich p. Mikołajczyka wyrażał się on bardzo lekceważąco.

Zawarcie paktu politycznego między prezesem ogólno-narodowej organizacji krajowej wychodźstwa a przywódcą jednej partii politycznej, stojącej w dodatku na gruncie klasowym, jest dziwactwem niespotykanym dotąd w życiu polskim. Nie wydaje się też ta nowość czymś zdrowym ani pożytecznym.

Pakt Mikołajczyk — Rozmarek będzie miał niewątpliwie jeden ujemny skutek: powiększa zamieszanie w sprawie polskiej, a przez to samo ułatwia grę w przyszłości czynnikom obcym.

Takie fakty, jak układ chichagowski, budzić muszą czujność społeczeństwa polskiego. Więcej niż kiedykolwiek wysiłki jego skupić się muszą około ośrodka samodzielnej polityki polskiej, jakim jest prawowity Rząd Polski. Jest on w bardzo trudnej sytuacji dlatego właśnie, że reprezentuje interesy polskie. Ale w tym też tkwi jego istotna siła na przyszłość. Koniunktury i agentury przemijają. Interesy narodu są stałe.

TAK ZWANE "EMIGRACYJNE SWARY"

Wpuszczając Sowiety i komunizm do Europy, przyzwoliły państwa zachodnie także na infiltrację metod komunistycznych w politykę wewnętrzną poszczególnych narodów i to nie tylko tych, które znajdują się w bezpośrednim zasięgu rządów komunistycznych, lecz i tych, które z metodami oraz ideologią komunizmu walczą. Ciekawym przykładem przenikania tych kategorii działania jest przyjęcie w informowaniu społeczeństw metodycznego wmawiania nieprawdy tak długo, aż stanie się prawie truizmem. Tak np. przyjęło się w niepokojących rozmiarach fałszywe posługiwanie się terminem "demokracja." Nazwa ta ma służyć określeniu tych, którzy jej używają częściej i głośniej od innych.

Metoda wmawiania społeczeństwu oczywistej nieprawdy, lub nieprawdy częściowej, nie ominęła także polskiego społeczeństwa emigracyjnego, którego postawa w najważniejszych sprawach polskich była godna podziwu. Społeczeństwo to, składające się głównie z masy żołnierskiej, aż nadto rzetelnie wypełniającej obowiązek sprzymierzeńca w wojnie, poddane zostało od lat kilku nieograniczonemu w środkach technicznych naciskowi propagandowemu, fałszującemu wszystko, w co Polak wierzył, czym żył i do czego dążył. Od opinii o innym współrodaku z odmiennego ugrupowania ideowego, poprzez pogląd na strukturę władz państwowych, konstytucji, terytorium państwowego, interesów i celów narodu — wszystko ulegało metodycznemu, codziennemu fałszowaniu i to z wielu stron. Bez przesady można by powiedzieć — używając terminologii z ubiegłej wojny — o propagandowym kotle, w którym zostali zamknięci ci wszyscy, którzy takiego zakończenia sprawy polskiej w tej wojnie nie uznali za cel, o jaki walczyli.

Z drugiej strony — to społeczeństwo, separowane przemyślnie od swobodnych kontaktów ze światem, od możności przedstawienia swego stanowiska narodowi w kraju, w innych skupieniach wychodźczych,— ta wojenna i polityczna emigracja z naczelnymi władzami państwowymi i kierowniczym zespołem politycznym — została w ciągu paru lat dokładnie spreparowana i przedstawiana wszędzie w sposób fałszywy, niesprawiedliwy, oszczerczy. Jest to zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę, że to właśnie społeczeństwo stanęło bezapelacyjnie na przeszkodzie usiłowaniom wrogich Polsce sił. Jest to również zrozumiałe wtedy, gdy się weźmie pod uwagę tę sumę "perswazji" jaka została użyta ze strony byłych sprzymierzeńców dla doprowadzenia do "kompromisu" kosztem Polaków.

Nie jest to jednak zrozumiałe, a w każdym razie nie jest to wybaczalne, gdy preparowaniem niezgodnej z prawdą opinii zajmują się sami Polacy i to mieniący się jeszcze patriotami, członkami wielkiego i wspólnego obozu walki o Polskę, działającymi w warunkach wolności. Karygodne jest to wtedy także, gdy ci sami, którzy wiele w tej sprawie napsuli, utyskują publicznie nad "skłóconą emigracją," żalą się na istnienie "potępieńczych swarów." Na przeróżnych nieodpowiedzialnych "parlamentach" publicznych i w równie nieodpowiedzialnej prasie używa się propagandy złorzeczącej wszystkiemu, co nie jest wykładnikiem wąskiej racji

naród i państwo wpłynęła decydująco na stosunek młodego pokolenia polskiego do spraw religijnych i kulturalnych. Nie sposób przecenić jej znaczenia pod tym względem.

Podobnie jak i dwa poprzednie okresy życia i działalności Dmowskiego, ten trzeci zamyka ostatnia jego książka *Przewrót*. Nie jest już ona wykończonym podsumowaniem ale raczej wyczuciem i zarysowaniem kataklizmów jakie stoją przed światem. Jest w niej niewykończona próba obnażającego rzeczywistość naszej epoki wyjaśnienia źródeł wojen i rewolucji wstrząsających w chwili obecnej globem ziemskim.

Życie Dmowskiego, jak rzadko czyje życie, jest zarazem dziełem. Jest świadomym użyciem własnych sił ku określonym celom politycznym, świadomym przekształcaniem własnego społeczeństwa i oddziaływaniem przez nie na sprawy światowe. Naprzód kieruje on przekształcaniem społecznym narodu tak, by uzdolnić go do działania politycznego na wielką skalę. Następnie stawia ten naród po właściwej stronie w konflikcie światowym. Wreszcie w przewidywaniu nadchodzących kataklizmów uodparnia społeczeństwo przeciwko wpływom z zewnątrz, nawraca ku najgłębszym podstawom odrębności narodowej, które są zarazem podstawami solidarności europejskiej i umożliwia przez to temu narodowi wydobycie ze siebie tyle niezłomności i tyle samodzielności, ile miał później wykazać.

VI.

Roman Dmowski umarł w dniu 2 stycznia 1939 r. Opatrzność pozwoliła mu nie dożyć drugiej wojny światowej i odejść z obrazem wolnej Polski w oczach. W aktach stanu cywilnego wsi Drozdowo znajduje się odpowiednik aktu z parafii kamionkowskiej. W akcie zgonu Dmowskiego w rubryce "zawód" ktoś z przyjaciół wpisał: "budowniczy państwa polskiego".

Pogrzeb Dmowskiego był jedyną w swoim rodzaju majestatyczną demonstracją. Przed trumną nie niesiono żadnych odznaczeń, bo ich Dmowski nie miał. Za trumną nie było delegacji władz ale były delegacje z całego dosłownie kraju. Byli chłopi z węzełkami z jedzeniem, idący kilometry piechotą i wydający ostatni grosz na kolej, aby z najdalszych zakątków Polski przyjechać na pogrzeb. Byli górnicy i intelektualiści, masy robotników i mieszczan z prowincji, tłumy młodzieży i garść nestorów polityki polskiej. Byli ci, którzy z nim walczyli, ci, którzy od niego odeszli, ci, którzy do niego przyszli lub doń wrócili. W miarę jak kondukt pogrzebowy ze śródmieścia wchodził w przedmieścia Warszawy coraz więcej było flag na domach, coraz więcej chorągiewek w oknach sklepików i suteren . . .

Roman Dmowski został pochowany nie na Wawelu ani w specjalnym grobowcu, ale na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Jeden z wybitniejszych publicystów polskich napisał wówczas, że Dmowski spoczął na cmentarzu biedoty warszawskiej. Nie jest to ścisłe. Dmowski został pochowany na cmentarzu prawobrzeżnej Warszawy w grobie rodziny Dmowskich. I w tym jest właśnie najgłębszy patos. Człowiek, który wyrósł ponad swój naród i całe życie temu narodowi służył, uważał, że należy mu się na miejsce wiecznego spoczynku jedno miejsce na świecie: to, w którym są pochowani jego rodzice. Taki szmat piachu, gdzie stała niegdyś kolebka człowieka, gdzie leżą prochy jego rodziców, to właśnie jest — ojczyzna.

W.W.

Z OJCZYZNY WILHELMA TELLA

Szwajcaria, w listopadzie 1947 r.

W lutym r.ub., a więc prawie dwa lata temu, konsulaty państw Ameryki (Północnej i Południowej) były niemalże oblegane przez panikarzy wszelkich narodowości, którym się zdawało, że Szwajcaria stoi na straconej placówce i że zajęcie kraju przez wojska sowieckie jest kwestią paru miesięcy. Charakterystyczne, że głównymi klientami konsulatów byli Żydzi.

Dziś od czasu do czasu wybuchają również panikarskie nastroje; jeden z najbogatszych przemysłowców lozańskich zwierza się w zaufaniu, że w porcie genueńskim stoi jego gotów do podróży prywatny jacht, wyładowany skarbami, do Genui zaś "w razie czego" przeniesie go prywatny samolot. Uczucie niepewności, obawy lub wprost strachu przed najazdem narodziło się w drugiej połowie 1945 roku, kiedy armie sowieckie zatrzymały się o 2-3 tylko dni zmotoryzowanego marszu od Szwajcarii i kiedy agresywna wobec Zachodu postawa Z.S.R.R. nie mogła już budzić wątpliwości. Trzeba przyznać, że rozwój sytuacji międzynarodowej mógł wpłynąć na spotęgowanie się u Szwajcarów poczucia bezpośredniego zagrożenia.

Mógł, ale trudno powiedzieć, że tak się właśnie stało. Mentalność Szwajcara, w jej dobrych i złych przejawach, trudno jest zrozumieć komuś, kto nie żył dłużej w tym kraju, a zwłaszcza komuś, kto zetknął się wprost z ostatnią wojną. Praktycznie więc, prawie każdemu Europejczykowi, Szwajcaria, mimo swego centralnego położenia w zachodniej części kontynentu i ożywionych stosunków z zagranicą, ma mało wspólnego z otaczającymi ją krajami. Istniejące tu zagadnienia polityczne, ideologiczne, gospodarcze, kulturalne są niemal zawsze różne od tych, które trapią dzisiejszą Europę.

Dla przykładu: polityczny układ sił w Szwajcarii niemal się nie zmienia od pokoleń. Nie rozwinęły się tutaj żadne "modne" prądy. Faszyzm nie był poważną siłą nawet przed 5 laty, gdy Szwajcaria była z czterech stron świata otoczona przez wojska Osi i poddana silnym naciskom Berlina. Rząd szwajcarski okazał wiele ustępliwości w swej elastycznej polityce, ale społeczeństwo nie uległo wpływom nielicznej piątej kolumny, której członkowie stają dziś od czasu do czasu przed sądami, znacznie co prawda łagodniejszymi dla zdrajców, niż trybunały innych państw. Obecna piąta kolumna, komuniści, choć działający jawnie pod nazwą "Partii Pracy", okazali się równie mało atrakcyjni, jak ich hitlerowscy poprzednicy.

Październikowe wybory do parlamentu szwajcarskiego nie zmieniły w gruncie rzeczy partyjnego *ordre de bataille* i pozwoliły wszystkim ugrupowaniom cieszyć się z sukcesu. Partie rządowe otrzymały znaczną większość mandatów do izb połączonych: radykali 63, konserwatyści 62, chłopi 25, liberałowie 9, razem — 159. Opozycja składa się z 53 socjalistów, 8 niezależnych, 7 demokratów, 7 komunistów i 3 bezpartyjnych, razem — 78 deputowanych. Brak wstrząsów wewnętrznych jest wynikiem nie tylko oszczędzenia kraju przez drugą wojnę światową, ale i przez wszystkie inne wojny od czasów napoleońskich.

Tradycyjna już dziś neutralność szwajcarska, będąca mądrze pojętą racją stanu Konfederacji, stała się niewątpliwie źródłem bogactwa i dobrobytu, ale równocześnie wyrobiła bardziej zapewne integralny niż gdzie indziej egoizm narodowy. Naturalny egoizm człowieka, który pomnaża swe dobra wtedy, gdy inni tracą wszystko, lub prawie wszystko. Dlatego niedole innych narodów budzą tu mało zrozumienia, wywołują raczej protekcjonalną litość i pobłażliwe współczucie. Jak zresztą może zrozumieć śmierć bliźniego od bomby lub z głodu ktoś, kto o tym tylko . . . czyta? Pomoc Szwajcarii dotkniętym wojną krajom i jej udział z zabliźnianiu ran Europy wyraża się wprawdzie setkami milionów franków, ale nie stała się bynajmniej żywiołowym odruchem ani polityką rządu, a raczej trzeźwo pomyślaną i realizowaną na chłodno lokatą kapitału. Te miliony, w zestawieniu z bogactwem i dochodami społeczeństwa — to nie wiele. Szwajcar nie może pojąć, że jakieś państwo, żeby pomóc innym, zaprowadza u siebie kartki żywnościowe, jak zamierzają to podobno uczynić Stany Zjednoczone (nie wiemy oczywiście, czy i o ile takie zarządzenie jest dobrze obmyślonym interesem). W Szwajcarii przeciwnie, racjonowanie jest stopniowo znoszone, obecnie obejmuje tylko chleb i mąkę, cukier, nabiał i pewne gatunki serów.

To poczucie wewnętrznego, uświęconego ładu i wyraźnego dosytu gospodarczego gra niewątpliwie w kierunku zwiększenia obaw przed możliwym najazdem. Hamująco natomiast działa tu wstręt przed komunizmem, jako siłą z zewnątrz. Brzmi to paradokslanie, ale tak jest.

Szwajcaria nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Rosją Sowiecką, a w r.1934 wystąpiła ostro przeciw przyjęciu Z.S.R.R. do Ligi Narodów. Stosunki zostały nawiązane dopiero w r. 1945. Tego wymagała polityka, przecież wszystkie państwa na świecie biegły z rozwartymi ramionami na spotkanie zajmującej Berlin potęgi. Krok rządu spotkał się w Szwajcarii z bardziej niż chłodnym przyjęciem, prasa wyraziła opinię, że wpuszczenie poselstwa sowieckiego do Berna nie oznacza bynajmniej aprobaty ideologii, szerzonej przez Sowiety. W procesie stopniowego uświadomienia opinii światowej o prawdziwych celach i zamiarach Z.S.R.R. Szwajcaria okazała się niewątpliwie bardzo pojętnym uczniem. Wiadomości spoza "żelaznej kurtyny" były starannie notowane i komentowane, najpierw ze zdumieniem i pewnym niedowierzaniem, potem w przekonaniu, że inaczej "tam" być nie może.

To był element strachu przed narastającą dla świata cywilizowanego groźbą od Wschodu. Ale jednocześnie nadchodziły wiadomości o budzeniu się tego świata z początkowych snów o lojalności Z.S.R.R., wiadomości o tym, że coraz potężniejsze siły coraz mocniej przeciwstawiają się imperialistycznym planom czerwonego totalizmu, że tężeje front oporu. Społeczeństwo szwajcarskie bez wahań zajęło miejsce w tym froncie, szczęśliwe bez wątpienia, że nie jest odosobnione w swych przekonaniach. Szwajcaria czuje się moralnym kombatantem przeciw komunizmowi. Szwajcaria też ma oczy zwrócone z ufnością ku Ameryce.

Właśnie ta ufność nie pozwala strachowi zwyciężyć i przyczynia się do utrzymania wiary w ostateczny tryumf demokracji.

Szwajcaria ma nadzieję, że ewentualny konflikt zbrojny, o którym sporo się tu mówi i pisze, ustrzeże ją przed agresją, kursują nawet podobno "zupełnie pewne" informacje o rosyjskiej "gwarancji" nietykalności terytorium, ale niedawno rząd opublikował plan obrony, polegający na oddaniu bez większych walk miast i dolin i schronieniu się wyborowych oddziałów w twierdzach górskich, nie łatwych do wzięcia nawet nowoczesnymi środkami technicznymi. Plan ten ludność przyjęła ze stoickim spokojem.

Pogląd na sprawę polską uległ i ulega w Szwajcarii podobnej ewolucji, jak w innych krajach zachodnich. Na Polskę patrzano na ogół przez okulary propagandy anglosaskiej, jeszcze do niedawna obowiązywała tu w pełni Jałta. Informacje o wyczynach reżimu były uważane często za tendencyjne oświetlenia emigrantów. Mniej więcej rok temu prysły i te wygodne złudzenia, ale wielu Szwajcarów uważało, że fakt utrzymywania stosunków dyplomatycznych z Warszawą obowiązuje— i udawało naiwnie dobrą wiarę we "wschodnią demokrację". Zacytujmy dwa z wielu faktów jako przykład ówczesnych nastrojów niektórych dzienników szwajcarskich.

Jedno z większych pism konserwatywno-katolickich otrzymało od strony polskiej informacje o prawdziwej roli i obliczu szeregu osobistości reżimowych. Redakcja odpowiedziała grzecznie, że nie może artykułu zamieścić (oczywiście "z żalem"), ponieważ ustępem o ministrze spraw zagr. w Warszawie Modzelewskim mógłby się poczuć dotknięty "jego krewny", b. poseł Polski w Szwajcarii, p. Jan Modzelewski. Redakcja zdawała sobie oczywiście sprawę, że Modzelewski, przedstawiciel starej rodziny polskiej, nie może mieć nie wspólnego z Modzelewskim-Fischhauptem. Dziś dziennik ten nie ma już podobnych "zastrzeżeń".

Od wielu lat przebywający w Szwajcarii p. Otto Forst de Battaglia wyrobił sobie spore stosunki w pismach katolickich. W r. 1945 p. Forst przystosował się "realistycznie" do sytuacji, w nagrodę został mianowany attaché kulturalnym poselstwa reżimowego w Bernie i w tym charakterze uprawiał w prasie szwajcarskiej perfidną propagandę, starając się wykazać, jakie doskonałe stosunki panują w Kraju i jakimi w szczególności swobodami cieszy się Kościół Katolicki. Dopiero w ostatnich czasach zamykają się przed p. Forst drzwi jednej redakcji po drugiej.

Sprawa Polski niepodległej znajduje coraz więcej zrozumienia, ale w szerokich rzeszach ludności propaganda komunistyczna i pewne fakty poczyniły tymczasem ogromne szkody. Zwłaszcza wystąpienia "oficjalnej Polski" na terenie międzynarodowym, zawsze i wszędzie popierającej służalczo Rosję Sowiecką, przyczyniły się do rozpowszechnionej dość opinii, że Polska jest w rzeczywistości państwem (słusznie) i narodem (jakże krzywdzące) komunistycznym. Akcja zbierania darów na rzecz Polski spotyka się coraz częściej z nieufnością społeczeństwa, które nie chce "dawać na komunistów".

Ostatnie blisko po sobie następujące wydarzenia : odrzucenie planu Marshalla przez blok komunistyczny, utworzenie Kominformu, śmierć Petkowa, ucieczka Mikołajczyka, skazanie Maniu i likwidowanie resztek opozycji w krajach okupowanych — wytworzyły niebywale przychylną atmosferę dla wolnej Polski. Należy uczynić wszystko, co można, by wykorzystać tę sytuację w ważnym dla nastrojów europejskich kraju.

Polaków w Szwajcarii jest ok. 2.500, poza personelem placówek oficjalnych wszyscy wrogo nastrojeni do reżimu, choć, trzeba ze wstydem przyznać, część "inteligencji" stara się zabezpieczyć na obie strony i rejestruje się dyskretnie w konsulacie. Robotnicy i rolnicy okazują się jeszcze raz dużo odporniejsi na koniunkturalne, małoduszne pokusy.

B. internowani żołnierze 2. Dywizji i uchodźcy z Niemiec, stanowiący większość Polaków, są wciąż pod reżimem *refugiés*, który utrudnia bardzo uzyskanie prawa pracy i stałego pobytu w Szwajcarii. Władze policyjne dążą do zmniejszenia do minimum ilości uchodźców i zapraszają ich stale do opuszczenia Szwajcarii. Przymusu fizycznego nie ma, ale drobne szykany i dokuczliwe nieraz ograniczenia doprowadzają niecierpliwszych do desperackiego gestu i wyjazdu. Przeważająca jednak większość, a właściwie wszyscy dotychczas tu pozostali, nie mogą się zdecydować na dalszą tułaczkę do krajów o dużo gorszym położeniu gospodarczym niż Szwajcaria i starają się urządzić tutaj w oczekiwaniu na powrót do wolnej Polski. Ta swoista "wojna nerwów" trwa. Nie świadczy ona bardzo chwalebnie o postawie władz policyjnych, które wysuwają argument, że kiedyś skończy się dobra koniunktura, a wtedy cudzoziemcy staną się konkurencją dla obywateli kraju. Jakby 7.000 uchodźców wszystkich narodowości mogło stanowić gospodarczą groźbę dla bogatego kraju o 4 milionach ludności . . .

Mimo trudności, życie polskie w Szwajcarii nie tylko nie zamiera, ale ożywia się coraz bardziej. 5 istniejących organizacji społecznych przystępuje do utworzenia Zjednoczenia. W dziedzinie kulturalnej należy zasygnalizować ukazanie się ostatniego, trzeciego tomu cennego, potężnego wydawnictwa encyklopedycznego *Pologne* 1919-1939, które zapoczątkował i doprowadził przed śmiercią niemal do końca ś.p. Jan Modzelewski. Ukazuje się od 3 lat pismo informacyjno-polityczne *Pod Prąd*, o którego rzekomej rychłej likwidacji informują nieściśle ludzie zawistni (emigracyjne swary !). Nie ukaże się już z braku funduszów piękny kwartalnik *Pamiętnik Literacki*. Pismo literackie *Horyzonty*, pomyślane początkowo jako "most kulturalny" między Krajem a Zachodem, poddało się reżimowej kontroli i nie może być uważane za niezależne, co jest zresztą matematycznie pewnym wynikiem każdej formy "współpracy" z urzędnikami Borejszy. Dla zapewnienia opieki pozbawionym stypendiów akademikom powstał szwajcarsko-polski Komitet Opieki nad Studiami, który jednak nie zdołał dotąd uzyskać nawet takich wyników, jak działające w Szwajcarii na rzecz studentów niemieckich organizacje i instytucje.

Uchodźstwo polskie w Szwajcarii ma więc swoje trudne zagadnienia, życie jego bynajmniej nie płynie po różach, walka w obronie praw do znośnej egzystencji i walka o zrozumienie dla naszych celów narodowych jest ciężka. Może to i lepiej, że nie ma czasu na zbyt dokładne przypatrywanie się "Londynowi", który nie zawsze dostarcza godnych naśladowania przykładów politycznej emigracji polskiej.

WILGA.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

W nowej perspektywie

PÓŁKULA PÓŁNOCNA

CZY MOŻNA BYŁO INACZEJ ?

Przed paru miesiącami w jednym z pism emigracyjnych ukazały się rozważania na temat, co powinna była zrobić Polska w roku 1939. Sugestia pisma szła w tym kierunku, że powinniśmy byli pójść z Niemcami przeciwko Rosji. W tym samym mniej więcej czasie w prasie krajowej drukowano również dysertacje na ten sam temat z wręcz przeciwnym wnioskiem, a mianowicie, że już przed wojną Polska powinna była związać całkowicie swą politykę zagraniczną i wojskową z Sowietami. Najwybitniejszym może wyrazem tych poglądów był cykl artykułów płk. Kirchmayera w *Przekroju*. Rozważania tego rodzaju są odbiciem powojennych dyskusji, toczonych przez prawie każdego Polaka w różnym czasie i na różnym poziomie.

Od roku 1939 oddziela nas okres wojny, w którym myśleliśmy o walce i zwycięstwie raczej niż o możliwościach klęsk i konieczności kompromisu. Był to objaw zdrowy. Tylko kierownikom politycznym wolno w czasie wojny liczyć się z możliwością przegranych i zabezpieczać na ten wypadek — przeciętny obywatel staje się żołnierzem i myśli tylko o odniesieniu zwycięstwa. Ta przerwa lat wojennych łatwo może budzić fałszywe wrażenie, że i przed wojną byliśmy całkowicie nieprzewidujący, że klęskowy wynik tej wojny zaskoczył nas całkowicie i że dopiero obecnie zaczynamy myśleć o tym, co trzeba było zrobić przed wojną. Tak źle jednak nie było. Zapewne, było w społeczeństwie polskim sporo złudzeń i tradycyjnej lekkomyślności, a w rządzących kołach politycznych wiele blagi. Jednakże ludzie myślący, i to nie żadne wyjątki, ale rzesze obywateli, zdawali sobie sprawę z naszego położenia i jego możliwych skutków.

Przypominam sobie szereg rozmów prowadzonych w ostatnich dwuch latach przed wojną. Pamiętam jak jeden z dziennikarzy uzasadniał niemożność dłuższego oporu militarnego przeciw Niemcom ponad dwa do trzech tygodni. Jeden znowu z działaczy samorządowych twierdził, że trzeba trzeźwo rozważyć sprawę, jaka okupacja daje większy procent niepodległości Polsce : niemiecka czy rosyjska. Pierwszy z nich zginął w obronie Warszawy, drugiego zamordowano w Oranienburgu. Najbardziej jednak utkwiła mi w pamięci rozmowa z jednym z przyjaciół, rozstrzelanym później na Palmirach, ponieważ była wyjątkowo szczera i bardzo męcząca. Odbyła się ona w roku 1938. Jeden z nas reprezentował stanowisko, że nie wolno iść na wojnę z Rosją u boku Niemiec, gdyż musi to się zakończyć utratą ziem zachodnich, przymusowym przesunięciem nas na wschód i zamienieniem Polski w wasala Niemiec oraz ujęciem jej w kleszcze między Rzeszą a jej ukraińską kolonią. Drugi z nas dowodził, że

nie wolno iść na wojnę z Niemcami, mając za plecami Rosję, gdyż musi się to skończyć utratą ziem wschodnich, przesunięciem nas przymusowym na zachód, zamienieniem Polski w wasala Rosji i zaprowadzeniem w niej ustroju komunistycznego. Obaj byliśmy zgodni z tym, że w istocie stosunku Niemiec lub Rosji do nas niewiele zmieni, czy formalnie będziemy ich przyjacielem, czy wrogiem. Zgadzaliśmy się również, że w naszym położeniu geograficznym udziału w wojnie od samego początku nie unikniemy, a marzenia o neutralnej Polsce w razie wojny na Zachodzie nie mają żadnej podstawy. Najtragiczniejsze w tej rozmowie było, żeśmy się wzajem przekonali. Wniosek był ten, że istnieje bardzo poważne niebezpieczeństwo utraty przez nas niepodległości.

Mimo to na wojnę trzeba było pójść, ponieważ nie można było uniknąć udziału w niej. Można było jedynie z góry poddać się jednemu z wielkich sąsiadów, ale to by w niczym nie zmieniało naszego zasadniczego położenia po wojnie, przekreślałoby natomiast jedyną szansę wyjścia z niej zwycięsko z umocnieniem naszej niepodległości. Szansa ta polegała na tym, że państwa zachodnie pokonają Niemcy zanim Rosja będzie zdolna wkroczyć w Europę, lub też, jeśli wkroczy, zostanie przez nie wyparta.

Przytaczam tę rozmowę głównie dlatego, iż przypuszczam, że większość czytelników prowadziła podobne rozmowy przed wojną i tą drogą pragnę uprzytomnić, że nie byliśmy tak dziecinnie naiwni, jak to dzisiaj, pod wpływem rozgoryczenia, lub, jak w wypadku prasy krajowej, świadomej akcji rozkładowej, usiłuje się nas dzisiaj przekonać.

CZY JEST MIEJSCE NA POLSKĘ?

W rozważaniach krajowych wyraźnie, a w niektórych emigracyjnych podskórnie, tkwi założenie, że na Polskę jako państwo niepodległe nie ma w Europie miejsca. Myśl taka drąży umysły wielu Polaków i prowadzi ich do rozmaitych wniosków. Są tacy, którzy wyjście widzą w koniecznym wasalstwie wobec Rosji. Innym jedynym ratunkiem wydaje się umieszczenie Polski w obrębie jakiejś federacji, choćby nawet kierowanej przez inne mocarstwa, ba, choćby nawet ceną tej federacji miało być polityczne podporządkowanie się drugiemu z wielkich naszych sąsiadów tj. Niemcom. Czy istotnie w naszej epoce między Niemcami a Rosją nie ma miejsca na Polskę?

Fatalistyczny pogląd, że miejsca tego nie ma, opiera się na dwuch przesłankach. Pierwszą z nich jest, że w naszej epoce nie mogą istnieć niepodległe państwa małe, ani nawet średnie, że jak niegdyś znikły średniowieczne państwa-karzełki, ustępując miejsca dużym państwom narodowym, tak teraz nikną państwa narodowe, ustępując miejsca imperiom kontynentalnym. Myśl ta, którą wielu uważa niesłusznie za własny wniosek wyciągnięty z doświadczeń ostatniej wojny, wcale nie jest nowa. Już w końcu ubiegłego stulecia modne było np. w Anglii "myślenie kontynentami". W owym czasie i aż do pierwszej wojny światowej wydawało się, że nadchodzi koniec państw mniejszych i na placu pozostaną same imperia. Jednakże wynikiem owej wojny było właśnie rozpadnięcie się lub osłabienie kilku imperiów a powstanie szeregu mniejszych państw narodowych. Tezę o zaniku państw mniejszych w uproszczonej postaci usłyszałem już w dniu 18 września 1939 z ust pewnego reportera kryminalnego: "No, to teraz na paręset lat nie będzie już takich państw jak Polska, tylko same wielkie mocarstwa".

Teza ta, nawet gdy bardziej uczenie rozwinięta, jest bardzo wątpliwa. Na wstępie zauważyć już warto, że wszelkie zbyt daleko idące uproszczenia są zawodne. Nie wszystkie państewka średniowieczne znikły, niektóre z nich dotrwały aż do naszych dni. Istotniejsze wszakże jest tutaj inne zagadnienie. Zcalaniu się państw europejskich u progu epoki nowożytnej towarzyszyła zasadnicza przemiana wewnętrzna: zmienił się podmiot polityki — miejsce księcia czy miasta zajął naród. Zanik małych państewek był wynikiem tego procesu, tj. jednoczenia się obszarów narodowych. W naszej epoce podobnych ewolucji nie ma. Mimo wszelkich przewrotów podmiotem polityki międzynarodowej jest w dalszym ciągu naród. Nastąpiły tylko przesunięcia w układzie sił poszczególnych narodów. Na czoło wysunęły się niedawno rozrosłe narody, które zbudowały swe imperia drogą kolonizacji nowych obszarów, w pierwszym rzędzie Amerykanie i Rosjanie. Narody te jednak nie mają danych na to, by wchłonąć w siebie wszystkie inne mniejsze, a już dawno sformowane narody. Przeciwnie, walka między tymi największymi narodami powoduje wyzwolenie ludów kolorowych i formowanie się nowych państw narodowych poza Europą.

Nowym natomiast argumentem przeciwko dalszemu istnieniu mniejszych państw jest powód techniczny. Mówi się, że w naszej epoce państwa średnie nie będą technicznie zdolne do prowadzenia wojny na skalę "atomową". Wprawdzie nie wiemy jak będzie właściwie wyglądała technika przyszłej wojny i czy istotnie będzie ona dawała taką przewagę wielkim państwom, ale gdyby nawet tak miało być, to argument ten i tak opiera się na przeskoku myślowym. Nie każde państwo, które nie może samodzielnie prowadzić wojny, nie może mieć niepodległości. Małe państwa zawsze prowadziły wojny z mocarstwami w ramach jakiejś koalicji, a nie samodzielnie. Belgia, leżąca między dwoma wielokrotnie silniejszymi państwami, była i jest państwem niepodległym, mimo, że sama nie mogłaby walczyć z żadnym z nich. Przesłanka więc ogólna nie jest słuszna.

Pozostaje druga przesłanka fatalistycznego rozumowania, szczególna, dotycząca Polski. Polska, głosi ona, nie może opierać się skutecznie jednemu ze swoich wielkich sąsiadów inaczej niż w oparciu o drugiego. Obrona niepodległości przy pomocy sojuszu z dalej położonymi państwami prowadzi nas tylko do katastrof, nie jest skuteczna. Tu chętnie odwołuje się do zawsze prześladujących myśl polską wspomnień wieku XIX i złudzeń Wielkiej Emigracji. I w tym argumencie rozgoryczenie odbija się ujemnie na obiektywizmie. W rzeczywistości sojusze zachodnie oddały nam nieocenione usługi w stosunku do Niemiec. Dzięki nim odzyskaliśmy niepodległość po pierwszej wojnie światowej. I w drugiej wojnie światowej doprowadziły one do pokonania Niemiec. Prawdą natomiast jest, że sojusze zachodnie nie przyniosły nam nic prócz rozczarowań i złudzeń jeśli chodzi o stosunek do Rosji. Przyczyna tego tkwi w geografii politycznej.

ROSJA NIE MIAŁA SĄSIADA

Mocarstwa zachodnie, w szczególności Francja i Anglia, krajami macierzystymi sąsiadują bądź bezpośrednio, bądź przez wąski pasek morza z Niemcami. Ich spory z Niemcami nie są sporami o odległe terytoria, o wpływy i bogactwa, nie są, inaczej mówiąc, sporami imperialnymi, są sporami narodowymi, sporami o byt. Zatargi tych mocarstw z Rosją mają inny charakter. Są to zatargi typu imperialnego, o wpływy polityczne i gospodarcze, o odległe terytoria. Celem działania ze strony tych państw jest wstrzymanie ekspansji rosyjskiej w tym czy innym kierunku, zmuszenie Rosji do zmiany polityki lub do ustępstwa w jakimś punkcie. Do wojny na tym tle dochodzi rzadko. Przeważnie walkę prowadzi się rękoma cudzymi, udzielając pomocy i zachęty odpowiednim sąsiadom przeciwnika. Jedyna w ostatnim stuleciu wojna między Francją i Anglią a Rosją, Wojna Krymska miała charakter zgodny z charakterem sporu tych państw, t.j. ograniczony w celach i rozmiarach.

Krótko mówiąc, między naszym położeniem w stosunku do Niemiec a położeniem w stosunku do Rosji zachodziła dotąd ta zasadnicza różnica, że Niemcy miały silnych sąsiadów, a Rosja nie. Sąsiad nie zawsze oznacza wroga, lecz oznacza zawsze państwo o stałym stosunku, państwo szukające bezpieczeństwa. Sąsiad dąży zawsze do rozłożenia ciężaru nacisku swego silnego sąsiada na innych, szuka więc państw o podobnym położeniu, popiera sąsiadów silnego sąsiada Inaczej mówiąc sąsiad nie zawsze jest wrogiem, ale prawie zawsze jest przyjacielem sąsiadów sąsiada. Natomiast państwo nawet wrogie, ale nie sąsiadujące bezpośrednio, ma zupełnie inny stosunek do sąsiadów swego wroga. Nie szuka ono stałego układu w otoczeniu wroga, uderza i wycofuje się. Łatwo poświęca sąsiadów wroga ponieważ nie stanowią oni koniecznego czynnika jego własnego bezpieczeństwa. Wrogość Francji w pierwszej połowie a Anglii w drugiej ubiegłego stulecia względem Rosji nie przywróciła niepodległości Polsce, ani nie ocaliła Turcji przed usunięciem z Europy. W polityce cenniejszy bywa sąsiad sąsiada niż wróg sąsiada.

Sąsiadami Niemiec były dwa wielkie państwa: Anglia i Francja i jedno duże: Włochy. Sąsiadem Rosji jedynym była przed dwoma wiekami Turcja. Turcja została, głównie za sprawą Rosji, zlikwidowana jako mocarstwo i dziś jest małym państwem. Pozycja jej jest kluczowa, ale znaczenie jej jest już tylko jako placówki innych państw, wielkich mocarstw zainteresowanych w powstrzymywaniu ekspansji Rosji w kierunku południowo-zachodnim. Dalej na wschód Rosja nie ma silnych sąsiadów. Indie z Rosją wspólnej granicy nie mają, a leżą między nimi wielkie, trudno dostępne i nieciekawe ekonomicznie obszary. Jedynym odpowiednim w skali sąsiadem wschodnim Rosji mogłyby być Chiny ze swą półmiliardową ludnością. Odkąd wszakże Rosja jest mocarstwem światowym, Chiny są w rozkładzie. Pewne nadzieje, jakie budziły się w niektórych krajach, zwłaszcza w Ameryce, w związku z oporem chińskim przeciwko Japonii i pokonaniem tej ostatniej przez Amerykę, nie spełniły się. Chiny nie wyszły z chaosu, nie potrafiły uporać się z potężną penetracją rosyjską, są terenem starć z Rosją ale nie silnym jej sąsiadem.

Pozostawała Japonia. Polacy z tego pokolenia, które wchodziło w życie polityczne w okresie wojny rosyjsko-japońskiej r. 1904, zachowali wielkie nadzieje w związku z Japonią i oglądali się na nią aż do ostatniej wojny jako na możliwego sojusznika antyrosyjskiego. To, że Japonia nie wystąpiła do wojny z Rosją w drugiej wojnie światowej, wydawało się wielu rzeczą dziwną i wyjątkową. W istocie wyjątkowy był konflikt zbrojny z r. 1904 a nie brak konfliktu w 1941 r. Między Rosją a Japonią istnieje przeciwieństwo interesów i szereg sporów, ale nie istnieją wzajem wykluczające się dążenia. Państwa te mogą rozwijać swą potęgę równocześnie. Ich fizyczne sąsiedztwo jest znacznie odleglejsze niż sąsiedztwo Anglii z Niemcami, jest takie jak powiedzmy Anglii z Hiszpanią. Odległość ich głównych ośrodków politycznych jest znacznie większa. Co jednak ważniejsze, główne drogi życiowej komunikacji tych dwóch państw nie krzyżują się. Dla Rosji wyjście na Pacyfik przez Morze Japońskie z Władywostoku czy Dairenu jest bez porównania mniej ważne niż wyjście na Atlantyk przez Morze Północne, czy na Ocean Indyjski przez Zatokę Perską. Kraj Zaamurski jest od ośrodków ciężkości Rosji odległy o pół globu. Nawet

dziś, po przesunięciu punktu ciężkości Rosji na wschód, po powstaniu Kuzbasu i zbudowaniu Turksibu, po skolonizowaniu Kazakstanu, jeszcze zawsze pozostaje olbrzymia pusta przestrzeń między Rosją Wschodnią a Pacyfikiem. Wylot na Pacyfik jest dla Rosji sprawą raczej imperialną niż pierwszej potrzeby narodowej. Perspektywy na zbudowanie floty pacyficznej i stanięcie do współzawodnictwa z Ameryką Rosja nie ma. Z drugiej strony Japonia w swoich najdalszych nawet planach nie przewidywała zagarnięcia Syberii ani kolonizacji Azji Centralnej. Przedmiot sporu stanowiła rywalizacja w Chinach, władza nad Mandżurią i Koreą. Są to sprawy ważne, ale prowadzące w razie konfliktu do wojny typu kolonialnego nie narodowego. Nie wykluczają one porozumienia i długich okresów współżycia pokojowego tych dwóch państw, z których jedno zwraca się na zachód i zwłaszcza południowy zachód, drugie na południe i południowy wschód. Jedno jest przede wszystkim lądowe, drugie wyspiarskie; Rosja nie ma żadnej potrzeby anektowania eni kolonizowania ziem japońskich, a Japonia nie może kolonizować Sybiru z powodów klimatycznych.

Inna zupełnie byłaby istota konfliktu między zorganizowanymi nowocześnie Chinami a Rosją. Chiny zaczęłyby szukać odpływu dla nadmiaru swej ludności w olbrzymich przestrzeniach rosyjskiej Azji Centralnej. Okręg przemysłowy kuzniecki znajduje się, jak na azjatyckie wymiary, blisko granicy chińskiej, okręg rolniczy Kazakstanu również. Olbrzymie, przeludnione Chiny ciągną się od Turkiestanu po Koreę, granica chińska jest najdłuższą z granic Rosji i najtrudniejszą do obrony. To też Rosja pracuje w Chinach od ćwierćwiecza nie nad przeprowadzeniem tam rewolucji komunistycznej, ale nad utrzymaniem Chin w stanie wewnętrznego bezwładu. Przeciwna akcja amerykańska, zmierzająca do uporządkowania Chin, prowadzona przez obecnego ministra Marshalla bezpośrednio po wojnie, zakończyła się całkowitym niepowodzeniem i skłoniła Stany Zjednoczone do częściowego przerzucenia swoich planów w kierunku na Japonię. Ale Japonia jako forpoczta polityki azjatyckiej Stanów to znowu osobne zagadnienie, do którego wypadnie powrócić. W tej chwili wystarczy stwierdzić, że dotąd Rosja nie miała silnego sąsiada.

NOWA MAPA ŚWIATA

Mówiąc obrazowo, Rosja była ostatnim ogniwem w wielkim łańcuchu równoważących się państw Starego Lądu. Rosja miała wolne plecy i wskutek tego możność znacznie swobodniejszej akcji na wszystkich frontach niż jej zachodni sąsiedzi. Jak Anglia miała za plecami morze, tak Rosja miała za plecami step. Polska odrodzona mogła mieć sojuszników przeciwniemieckich, w których interesie leżało stałe utrzymanie niepodległej Polski na wschód od Niemiec, nie mogła mieć sojusznika w którego interesie życiowym leżałoby utrzymanie jej niepodległości od Rosji.

Łańcuch państw Starego Lądu tworzył pewną równowagę przeciwstawnych ogniw. Tak przynajmniej zdawało się w Wersalu. Ale równowaga wersalska ustawiana była na mylnym założeniu, że Rosja wypadła na długo z gry międzynarodowej, że przestała być mocarstwem, że jest pogrążona w stan chronicznej anarchii. Gdyby tak było, równowaga wersalska może trwałaby do dziś dnia. Ponieważ jednak Rosja odrodziła się jako mocarstwo w tym samym pokoleniu, równowaga wersalska okazała się pozorna. Druga wojna światowa przekreśliła dzieło Wersalu. Dla Polski w nowym układzie zabrakło miejsca. Aby to miejsce odnaleźć, trzeba by zbudować nową równowagę, uwzględniającą nie tylko przeciwwagę dla Niemiec, ale i przeciwwagę dla Rosji. Rzecz ta była niemożliwa do wczoraj. Większości ludzi może ona się wydawać niemożliwa i jutro.

Jeżeli patrzeć na mapę ziemi w rzucie Merkatora, sprawa przedstawia się istotnie beznadziejnie. Olbrzym rosyjski nie może być zatrzymany przy pomocy polskiego koreczka. Na mapie Merkatora Rosja nie ma wielkiego sąsiada. Ostatnie dziesięciolecie z jego rozwojem komunikacji lotniczej nauczyło nas jednakże nowego spojrzenia na mapę. Jak wynalazek żagla sprawił niegdyś, że pustynia oceanu stała się gościńcem, tak wynalazek samolotu sprawił, że pustynia lodów stała się dostępną drogą.

Ocean Arktyczny nie jest większą przeszkodą niż step między Rosją a Chinami. Z drugiej zaś strony Arktyku są nie bezwładne Chiny, ale Kanada i Alaska stanowiące przedłużenie największej potęgi przemysłowej i militarnej świata. Ramiona tej potęgi sięgają głęboko w Japonię, Koreę, Chiny, Arabię, Turcję, Grecję, Europę zachodnią, ku Szpicbergom i Aleutom. Zamiast na prostokątną mapę Merkatora, spojrzeć trzeba na kolistą mapę nawigatora obejmującą półkulę północną globu. Bo wprawdzie Ameryka leży, jak przyzwyczailiśmy się myśleć, na półkuli zachodniej a Rosja na wschodniej, ale obie leżą na półkuli północnej.

Z punktu widzenia mapy nawigatora lotniczego Rosja ma silnego sąsiada w postaci Ameryki. Nie tej dawnej Ameryki, stykającej się z nią tylko w jednym odległym punkcie poprzez cieśninę Berynga, ale nowej Ameryki wiszącej nad Rosją od Petsamo po Petropawlowsk i okrążającej ją od Petropawlowska po Dairen i od Petsamo po Stambuł. Konsekwencje tej wielkiej zmiany, która zaczęła się dziś, okażą się w pełni dopiero jutro, ale są to konsekwencje z gatunku stałych, tak jak stałe skutki dla świata miało skolonizowanie stepu amerykańskiego przez Jankesów a stepu azjatyckiego przez Moskali.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

POLSKA A LITWA

ZAGADNIENIE stosunków polsko-litewskich, będące od dawna jednym z ulubionych tematów naszych historyków, posiada już swoją liczną literaturę. Należy wszakże zauważyć, że większość tych opracowań bada historię stosunków pomiędzy Polską a Litwą w jednej tylko epoce, panowania Jagiellonów w obu państwach. Odnosi się to zarówno do kapitalnej wciąż pracy Fryderyka Papéego: *Polska i Litwa na przełomie wieków średnich* (Kraków, 1904), doprowadzonej zresztą tylko do śmierci Kazimierza Jagiellończyka, jak i stosunkowo niedawno wydanego dzieła Ludwika Kolankowskiego: *Polska Jagiellonów*. Całość stosunków polsko-litewskich, o ile sobie przypominam, obejmowała tylko popularna praca Edmunda Jezierskiego, wydana w r. 1919 p.t. *Litwa z Koroną*; ale i ona nie dawała pełnego przeglądu tych stosunków, kończyła się bowiem z datą upadku Rzeczypospolitej w XVIII w. Obecnie wydana książka prof. Władysława Wielhorskiego, posiadającego już za sobą znaczny dorobek naukowy, o ile chodzi o zagadnienie litewskie, wypełnia dotkliwą lukę w nszej bibliografii historycznej, ponieważ przeprowadza gruntowne studium dziejów polsko-litewskich aż do ostatnich czasów.

Książka Wielhorskiego zasługuje na uwagę nie tylko dlatego, że jest nowym i ważnym przyczynkiem do naszej historii, ale również i dlatego, że w sposób obiektywny odtwarza rzeczywisty obraz wciąż jeszcze drażliwego zagadnienia, nie siląc się wcale na argumenty propagandowe na poparcie polskiej tezy, a tym nie mniej spełniając potrzeby polskiej propagandy. Dlatego jest przede wszystkim podręcznikiem przeznaczonym do informowania cudzoziemców. Polski ośrodek naukowy w Londynie, *Polish Research Centre*, mający za zadanie w pierwszym rzędzie informowanie o sprawach polskich, słusznie uczynił, że wydał tę pracę jako pierwsze znaczniejsze dzieło przez siebie opublikowane.

---

*) Władysław Wielhorski: *Polska a Litwa. Stosunki wzajemne w biegu dziejów. The Polish Research Centre.* Londyn, 1947.

Książka Wielhorskiego ma tę jeszcze zaletę, że wydobywa szczegóły mało znane nawet dla samych Polaków. Dowiadujemy się z niej np., że Litwinów było pod koniec XIII w. około 200.000, ale natomiast liczba Polaków, przebywających na Litwie w charakterze brańców wojennych (mężczyzn, kobiet i dzieci) musiała wynosić już w XIV w. co najmniej 100.000. Jak wiadomo Gedymin wydając swą córkę Aldonę za Kazimierza Wielkiego, zwrócił wolność tym brańcom w liczbie 24.000. Reszta ich pozostała na Litwie. "Równolegle do powyższego, przymusowego wychodźstwa z Polski do Litwy — pisze Wielhorski — zaznaczyła się od połowy XIII wieku i kolonizacja inna, miejska. Ta posiadała charakter dobrowolnej emigracji do grodów litewskich polskich rzemieślników i kupców . . . Gedymin . . . zachęcał rękodzielników i kupców polskich przez swoich agentów, wysyłanych na Podlasie i Mazowsze, do osiedlania się w miastach litewskich, wskazując im nawet najdogodniejsze drogi dojazdowe do Litwy." Wielhorski wskazuje na dowody dużej tolerancyjności Gedymina oraz jego następców w stosunku do obyczajów oraz wyznań swoich nielitewskich poddanych. Gedymin wyraził wobec legatów papieskich w r. 1324 zapewnienie, że jego poddani chrześcijańscy będą mogli każdy po swojemu czcić Boga: *Ruthenos secundum ritum, Polonos secundum morem suum.* Tenże sam książę, w liście pisanym w roku 1323 do Franciszkanów saskich, prosił o przysłanie do dwóch kościołów w Wilnie i w Nowogródku czterech kapłanów, znających języki: polski, żmudzki i ruski.

Jak stąd wynika zatem, polskość znacznie wyprzedziła na Litwie unię z Polską, przyczyniając się do rozwoju miast litewskich. Od czasu Unii proces ten tylko się spotęgował. Przyrost ludności odbywał się jednak odtąd głównie drogą asymilacji kulturalnej wśród ludności litewskiej i białoruskiej. Najpierw polszczyły się miasta, później znaczniejsi bojarzy, wreszcie drobniejsi bojarzy (szlachta). Wkońcu polszczył się i lud, najczęściej na pograniczu obszaru etnicznego litewskiego i białoruskiego.

Polskość wbijała się jak gdyby klinem pomiędzy te dwa obszary. Litwini, żyjący na styku etnicznym z Białorusinami, najpierw przyjmowali język białoruski, później skolei polski.

Wielhorski słusznie podkreśla fakt tendencyjności tych publicystów litewskich, którzy widzą w postępach kultury polskiej na Litwie powód cofania się oraz zastoju litewskiej kultury narodowej. Zapominają oni, że zanim Litwini przyjmowali polskość, przeszli przez rutenizację. Do r. 1696 językiem urzędowym na Litwie był język białoruski; dopiero od tej daty stał się nim język polski. Kultura polska oraz język polski, jak również katolicyzm, zajęły miejsce kultury i języka ruskiego, oraz prawosławia. Litewskość, która w olbrzymin państwie litewsko-ruskim była pojęciem państwowym, a nie narodowym, stała się w XVII i XVIII w. pojęciem lokalnym. Kiedy w r. 1811 Michał Kleofas Ogiński, przedstawiciel "separatystycznej" orientacji litewskiej, występował ze swoim projektem odbudowania "Wielkiego Księstwa Litewskiego" w ramach imperium rosyjskiego, w projekcie tym domagał się, aby jego językiem urzędowym był język polski "do załatwiania wszystkich spraw W. Księstwa".

Pisząc o litewskim odrodzeniu narodowym w drugiej połowie XIX w., sprzeciwia się Wielhorski teorii, jakoby było ono procesem podsycanym z zewnątrz przez tendencje wrogie polskości. Na rzecz tezy autora przemawia dobór nazwisk pierwszych inicjatorów tego ruchu, wśród których większość stanowili Polacy, lub też "Litwini kultury polskiej". Dopiero z czasem ruch narodowy litewski nabył wrogości wobec Polski i kultury polskiej, kiedy uznał on, że atrakcyjność polskości stanowi główną przeszkodę jego szerzenia się wśród Litwinów. "Odgrodzenie się wrogością od Polaków uważane było wśród kierowników ruchu odrodzeńczego Litwy za konieczność dla zahamowania dalszej polonizacji młodzieży litewskiej i dla łatwiejszego wyplenienia elementów kultury polskiej z dorastającego pokolenia młodzieży. Rozbudzona nienawiść miała zniszczyć urok przyciągający polskości dla Litwinów owej epoki, opancerzyć niejako tym uczuciem psychikę litewską przeciw dalszym wpływom Polski". Jak wskazuje Wielhorski, wobec tendencji tych wśród litewskiego obozu narodowego, społeczeństwo polskie na Litwie historycznej nie było jednolite. Większość Polaków w Kowieńszczyźnie, zaś w Wileńszczyźnie przedstawiciele kierunków lewicowych wypowiadali się za koncepcją państwa litewskiego, obejmującego etnograficzną Litwę oraz Wileńszczyznę i może Białoruś, które by pozostawało "w bliższych więzach ustrojowych z Rzeczpospolitą Polską".

Natomiast koła polskie na Wileńszczyźnie, zbliżone do Narodowej Demokracji, uznawały prawo Litwinów do własnej państwowości na obszarach etnograficznych litewskich, o ile chodzi natomiast o Wileńszczyznę i Grodzieńszczyznę oraz Nowogródzkie, proklamowały zasadę przyłączenia ich do Polski. Już 3 września 1916 Komitet Polski w Wilnie pod okupacją niemiecką (jak zaznacza Wielhorski, "jednoczący głównie zwolenników Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego"), wydał następującą deklarację: "Komitet Polski w Wilnie, zważywszy, że dążność do wspólnoty państwowej z Polską jest życzeniem politycznym, jakie łączy wszystkich Polaków Litwy i Białorusi; uznając, że w ramach państwa wspólnego z Polską kraj ten będzie mógł zachować ustrój szczególny, odpowiadający warunkom miejscowym tego życia; że jedynie w tych ramach tęsknoty kulturalne i narodowe wszystkich narodowości będą mogły znaleźć całkowite zadośćuczynienie potrzebom gospodarczym tego kraju . . . oświadcza, że dla nas, Polaków z Litwy i Białorusi jedynym rozwiązaniem losu naszego kraju jest to, które zapewni wspólnotę państwową z Polską".

Sympatie uczuciowe Wielhorskiego są wyraźnie po stronie pierwszego kierunku. Jednak przyznaje on, że program ten "nie okazał się realny" — i że "bardziej trzeźwymi okazały się ówczesne mniemania polskiej myśli politycznej w Wileńszczyźnie, reprezentującej głównie Narodową Demokrację". Litwini bowiem, jak stwierdza autor, nie chcieli słyszeć o federacji z Polską i byli nieprzejednani w swoim nacjonalizmie litewskim.

O ile chodzi o przyszłość stosunków polsko-litewskich, Wielhorski nie jest zbytnim optymistą, stwierdza bowiem, że w psychice litewskiej "istnieje współcześnie uraz przeciwpolski obok pomniejszonej czujności moralnej"; z drugiej zaś strony brutalne zachowanie się Litwinów wobec Polaków w czasie ostatniej wojny wywołało naturalną reakcję w nastrojach ludności polskiej. Wielhorski pociesza się jednak, że w nowych warunkach, jakie przyjdą, narody Europy "jeżeli . . . nie zginą w obecnym kataklizmie, a przeżyją go w swych osiedlach, to będą musiały znaleźć możność współżycia sąsiedzkiego. Wypadnie przezwyciężyć im wszystkie przeszkody, spiętrzone jeszcze czasu tej wojny, by znaleźć język wzajemnie zrozumiały". Zadanie to leży — zdaniem Wielhorskiego — i przed narodami polskim i litewskim. Te nadzieje autora również i my podzielamy, budując na nich tyle, ile są one realnie warte.

T.P.

ALEKSANDRA POLESKA

CONRAD I DOSTOJEWSKI

W ANGLII, w czasie kiedy Conrad rozpoczynał karierę pisarską, była moda na pisarzy rosyjskich. Opiekunem literackim Conrada był wtedy znany krytyk Edward Garnett, którego żona przetłumaczyła na język angielski szereg arcydzieł literatury rosyjskiej. Oboje Garnettowie byli pod urokiem Rosji do tego stopnia, że kiedy Conrad wydał w roku 1911 powieść o rewolucjonistach rosyjskich *W oczach Zachodu*, Garnett oświadczył z dąsem, że jest ona antyrosyjska i sprowokował tym ostrą odpowiedź Conrada: . . . *you are so Russianised, my dear, that you don't know the truth when you see it—unless it smells of cabbage-soup when it at once secures your profoundest respect. . . . I suppose one must make allowances for your position of Russian Ambassador to the Republic of Letters . . .*

Conrad nie ufał Rosji politycznie (rodzice jego zmarli na Syberii jako zesłańcy), można powiedzieć nawet, że jej nienawidził, ale w sprawach literackich potrafił zachować całkowity obiektywizm. Jeżeli nie lubił "atmosfery rosyjskiej" w literaturze, to jednak cenił wysoko doskonałość artystyczną pisarzy rosyjskich XIX wieku. Zwykł był powtarzać, że Dostojewski jest jednym z największych pisarzy świata,— "głęboki jest jak morze"; ulubionym zaś jego autorem był Turgieniew, którego uważał zresztą za najbardziej europejskiego z wszystkich piszących Rosjan.

W powieści Conrada *W oczach Zachodu* wpływ Dostojewskiego jest wcale wyraźny. Porównanie ze *Zbrodnią i karą* nasuwa się samo przez się, zwłaszcza, że bohaterami obydwu powieści są studenci, ludzie ambitni i pnący się w górę za wszelką cenę, którzy biorą na siebie ciężar ponad siły, jeden w postaci zdrady, a drugi morderstwa. W momencie kulminacyjnym swych spowiedzi Raskolnikow i Razumow wypowiadają niemal te same słowa: "*I zabijając ją sam siebie zabiłem*" (*Zbrodnia i kara*) . . . "*i nie wiedziałem, że wydając go sam siebie zdradzam*" (*W oczach Zachodu*).

Zbieżność powyższa może być oczywiście najzupełniej przypadkowa i nie należy jej przeceniać. Conrad był człowiekiem oczytanym, interesował się zarówno literaturą rosyjską jak francuską i w książkach jego wiele jest zdań wskazujących na wpływy Stendhala, Meriméego i innych. Prawdziwe natomiast podobieństwo pomiędzy Conradem a Dostojewskim jest natury zupełnie innej: mianowicie obaj należą do najwyższej klasy pisarskiej, nie tyle z uwagi na formę zewnętrzną co na problemy, jakie poruszają.

W literaturze, podobnie jak w życiu, istnieją zagadnienia ważne i mniej ważne. Kwestia techniki, stylu i sposobu pisania (w Polsce zresztą nie doceniana, zawsze poświęcano jej za mało uwagi) nie jest jednak tak ważna, jak sprawa osobistego stosunku autora do rzeczywistości, jego ostateczny rozrachunek z samym sobą w obliczu wieczności. Epiktet, chcąc lepiej uzmysłowić różnicę między sprawami w literaturze najważniejszymi a kwestiami drugorzędnymi, przemijającymi, posłużył się pięknym i plastycznym porównaniem:

> "Człowiek idący do domu napotkał gościnną gospodę przy drodze, a polubiwszy ją, postanowił zamieszkać w niej na stałe. Człowieku! Czyliż zapomniałeś o celu swej wędrówki? Miałeś przecie tylko odpocząć w gospodzie . . . lecz tu jest tak wygodnie. Znajdziesz jeszcze inne, równie wygodne miejsca pobytu, powabne pola i piękne łąki, ale to są tylko chwilowe przystanki w twej wędrówce. Ty masz przecież przed sobą cel, którym jest dotarcie do domu a potem spełnienie obowiązków względem rodziny, przyjaciół i współziomków, a wreszcie osiągnięcie wewnętrznego zadowolenia, pokoju i uroczystej powagi. . . . Kwestia stylu zajmuje twą wyobraźnię, argumentacja cię pasjonuje, a zapominasz o rzeczy najważniejszej, mówiąc, że są to sprawy ciekawe. Któż temu przeczy? Pamiętaj tylko, iż są to rzeczy chwilowe, przemijające, jak owa gospoda po drodze do domu. Nie myśl też, że atakuję staranność twego stylu lub wyśmiewam troskę o argumentację. Ja tylko nie chcę, aby te rzeczy zbyt cię pochłaniały, abyś zapomniał o celu swej wędrówki, który leży poza nimi".

W świecie literackim jest zawsze wielu takich ludzi, którzy nie pamiętają o celu swej wędrówki, zaabsorbowani innymi, bardziej przemijającymi sprawami. Jako typowy przykład takiego stosunku do życia może posłużyć Oscar Wilde, który znalazłszy sobie wygodną "gospodę literacką" w postaci pisania łatwych sztuk środowiskowych, nie ruszył się już z niej do końca życia. Dlatego sława jego, niegdyś tak wielka, przemija coraz bardziej. Conrad i Dostojewski natomiast należą do tych nielicznych pisarzy, którzy przezwyciężywszy to, co łatwe, wygodne i przyjemne, zwrócili uwagę na rzeczy wieczne, na te, "które leżą poza wszystkimi innymi".

Oczywiście każdy z nich widział sprawy tego świata innymi zupełnie oczami. Dostojewski znajdował odpowiedź na wszystkie dręczące go pytania w dosłownej interpretacji Ewangelii z tym, że problem dobra i zła interesował go może najwięcej. Jeżeli czytając jego powieści mamy uczucie wszystko obejmującego pesymizmu, to dlatego, że Dostojewski

wierzył, iż człowiek jest zbyt słaby i ułomny, aby mógł tak żyć jak mu to zostało nakazane. Piękny ideał, który ukazał ludzkości Chrystus i do którego spełnienia tęskni dusza człowieka, jest właściwie nieosiągalny. Wszystkie więc wysiłki ludzkie kończą się niepowodzeniem i rozpaczą. Nie ma żadnej pociechy, jest tylko zawsze obecna świadomość własnej niegodności w obliczu Boga.

Conrad także próbował odpowiedzieć na pytanie, jak należy żyć. Odpowiedź jego jednak bardzo się różni od wyznań Dostojewskiego. Naprawdę powiedzieć można, że w odmienności rozumienia tego problemu leży cała różnica filozoficzna między interpretacją sensu istnienia na Wschodzie i na Zachodzie. Conrad, tak samo jak Dostojewski, widział rzeczywistość w wymiarach tragicznych. Jednak lektura jego, choć wstrząsająca, nie ma w sobie nic naprawdę przygnębiającego. Wypływa to ze światopoglądu autora. Conrad zdaje się rozumować w ten sposób: nasza wiedza o świecie jest z konieczności ograniczona i wydaje się, że śmierć istotnie kończy wszelkie sprawy ludzkie, są jednak przecież pewne rzeczy, które człowiek tu na ziemi ma do zrobienia. Jedną z nich jest spełnienie swego obowiązku aż do końca. Niepewność zaś co do ostatecznego sensu istnienia dźwigać należy w męskim milczeniu.

Conrad jest bardzo europejski w tym podkreślaniu wartości, jaką ma heroizm nawet w obliczu beznadziejności, a także w swej zdecydowanej wierze, że honor warto jest ocalić nawet za cenę życia. Tego punktu widzenia Dostojewski nigdy by nie zrozumiał. Dostojewski nie był człowiekiem Europy. Nie rozumiał, a równocześnie nienawidził i modlił się o jej upadek, aby na jej gruzach wprowadzić nową hierarchię wartości, jaką wypracuje Rosja. Wierzył tylko w nieograniczone zdolności i instynkt narodu rosyjskiego. Dostojewski był największym szowinistą rosyjskim, jaki kiedykolwiek żył, na sławie europejskiej nic mu nie zależało, a rozgłos światowy zdobył niejako mimo woli, poruszając pewne problemy moralne interesujące całą ludzkość. Conrad natomiast był człowiekiem Europy, chociaż przyszedł na świat w odległym mieście ukraińskim. Wychowano go bowiem na kulturze łacińskiej i wcześnie poznał literaturę francuską z jej zdrową szczyptą sceptycyzmu, która nie pozwala człowiekowi brać swych chwilowych impulsów zbyt poważnie i która zawsze czujnie apeluje do rozumu przeciw emocjonalnym zasadzkom.

Rozważając zagadnienie cierpienia, problem winy i odpowiedzialności, obaj pisarze znaleźli się na gruncie religijnym. Tak Dostojewski jak i Conrad obracają się w orbicie chrześcijaństwa, Conrad z przywiązania do pewnych wartości europejskich które na gruncie tym wyrosły, Dostojewski zaś z przejęcia się Ewangelią, która przez długi czas stanowiła jedyną jego lekturę. Jak wygląda chrześcijaństwo znakomitego pisarza rosyjskiego? Nie jest to optymistyczna doktryna św. Tomasza z Akwinu (Dostojewski nie znosił katolicyzmu), nie buntująca się przeciw wymogom ciała, wprowadzająca wspaniałą harmonię między ciałem, duszą a umysłem człowieka. Jest to raczej pewien specyficzny gatunek wschodniego mistycyzmu, oscylujący między prawowiernym prawosławiem a szarpiącymi wątpliwościami co do istnienia Boga w ogóle. Podczas gdy katolicyzm wyraża się najpełniej w indywidualnym rozwoju jednostki i dążeniu do zbawienia własnej duszy, to chrześcijaństwo Dostojewskiego przeżywa swe najpełniejsze wzniesienie w masochistycznym niemal upokarzaniu się, w bezlitosnej zatracie indywidualnej godności ludzkiej.

A teraz co do światopoglądu Conrada. Niektórzy krytycy nazywają go pesymistą, ale jest to pogląd raczej powierzchowny. Słuszniej byłoby określić jego postawę wobec życia jako stoickie pogodzenie się z losem. Conrad nie zagłębia się w zawiłe spekulacje filozoficzne na temat początku i końca człowieka i świata, on przyjmuje rzeczywistość jako coś nieuniknionego i jedyne zagadnienie, jakie go naprawdę interesuje, jest natury etycznej: jak człowiek powinien postępować aby zachować godność ludzką w obliczu nieprzeniknionego i nieprzyjaznego losu. To, że walka z losem jest nierówna i że człowiek zawsze niemal skazany jest na przegraną, nie umniejsza wartości jego usiłowań, skoro świat tak a nie inaczej został dla nas stworzony.

Równie odmienna jak założenia światopoglądowe obu pisarzy jest forma zewnętrzna ich arcydzieł. Obaj znaleźli swój sposób wypowiadania się w formie powieści — w owym przywilejowanym gatunku literackim 19. stulecia. Dostojewski ubierał swe rozważania o człowieku w sensacyjną formę romansów kryminalnych i posiadał szczególną technikę: zamiast opisywać wprost jakiś fakt, rekonstruuje rozmowy; utwory jego są tak pełne dyskusji, że niezmiernie łatwo przerobić je na sztuki sceniczne. Ta metoda unikania wszelkich opisów i stosowania ich tylko tam, gdzie jest to absolutnie konieczne, doprowadziła niektórych krytyków do przypuszczenia, że Dostojewski nie umie dobrze opowiadać i dlatego wybiera bardziej prymitywną formę uzewnętrzniania się. Nic podobnego! Dostojewski jest wspaniałym narratorem, ale tylko w jednej książce *Wspomnienia z martwego domu* jego geniusz narracyjny zabłysnął w całej pełni. Jest to nawiasem mówiąc zbiór pasjonujących reportaży z pobytu w katordze sybirskiej. Metoda Dostojewskiego nie była przypadkowa, osobliwa forma jego powieści wybrana została z premedytacją dla pełniejszego ukazania charakterów i ich wzajemnych zderzeń psychicznych. Dostojewski był niewątpliwie jednym z tych ludzi, którym przy pełnej zdolności wglądania w wewnętrzny mechanizm człowieka dana jest także pewna przyrodzona łatwość wypowiadania się, znajdowania właściwego słowa dla oddania skomplikowanych stanów psychicznych i sugestywnego stwarzania odpowiedniej atmosfery.

Odwrotnie miała się rzecz u Conrada. Nie był on urodzonym pisarzem w tym znaczeniu, by wyrazy same cisnęły mu się pod pióro. Z wynurzeń jego do przyjaciół wynika, że zmaganie się ze słowem było dla niego cięższe niż dla niejednego praca w kamieniołomach. Miał on dużo do powiedzenia, ale wysławiał się z trudem i to nie dlatego tylko, iż pisał w obcym języku. Niejednokrotnie bardzo opornie przychodziło mu wciągnąć się w nurt opowiadania i w początkowych rozdziałach wielu jego powieści czuje się wyraźnie heroiczny niemal wysiłek wyrywania ze siebie zdań a nawet pojedyńczych słów. Autor *Nostromo* musiał rozwiązywać szereg skomplikowanych zagadnień techniki pisarskiej, próbować pewnych tricków, aby osiągnąć artystyczną doskonałość swego gatunku literackiego. Często wprowadzał pośredni sposób opisu w osobie kogoś, kto referuje strzęp opowiadania lub nawet całą historię. Ten sposób pomagał mu samemu pozostawać poza nawiasem akcji a równocześnie komentować dowoli. Mimo trudności powstawania, wczesna proza Conrada posiada nieprzebrane skarby wigoru życiowego i świeżości. W późniejszych książkach, kiedy pisarz osiągnął już większą swobodę techniczną, owa żywotność wydaje się mniejszą i puls pisarski uderza słabiej. Pisarz jednak nie ustał ani na chwilę w swych poszukiwaniach. Każda jego książka to niezmordowane wypracowywanie nowych sposobów ukazywania rzeczy oczom czytelnika, to triumfalne eksperymentowanie z nagromadzonym materiałem. Conrad jest wielki nawet tam, gdzie wydaje się nam artystycznie mniej doskonały.

Z pewnym uproszczeniem można by powiedzieć, że tak jak Conrad jest pisarzem dyscypliny i entuzjastą obowiązku, tak Dostojewski jest piewcą impulsów i wiecznym wyrazicielem buntu człowieka, który nie rozumie, jaki jest ostateczny cel jego życia i po co musi się uginać pod swym brzemieniem. Dostojewski nie znosi wszelkich ograniczeń, a kiedy czuje nawet konieczność pewnych wędzideł dla duszy ludzkiej, to zarazem wyznaje, że większość ludzi nie jest zdolna ich sobie nałożyć. Jest on w tym względzie najpełniejszym i najbardziej skrajnym przeciwieństwem Conrada. Jego anarchistyczne chrześcijaństwo, połączone z rosyjskim mesjanizmem i pewnym, patologicznym jednak, stosunkiem do rzeczywistości, przywodzi na myśl ową straszliwą legendę, której wątek odnaleźć można we wszystkich niemal ludowych podaniach rosyjskich: o owym olbrzymie, który był zbyt wielki nawet dla siebie samego.

ALEKSANDRA POLESKA

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

WOJSKO POLSKIE NA OBCZYŹNIE

Andrzej Liebich. płk. dypl.: NA OBCEJ ZIEMI. Polskie Siły Zbrojne 1939-1945. *Londyn*, 1947. *Światowy Związek Polaków z Zagranicy*. Seria: Polska Historia Drugiej Wojny Światowej. Tom 2. 10 szkiców poza tekstem. Cena 12s. 6d.

UKAZAŁA się książka, próbująca dać odpowiedź, według słów autora: "na dwa podstawowe pytania: jaką drogą, w anormalnych warunkach oderwania od kraju, Siły te (Polskie Siły Zbrojne) powstały i jakie wartości moralne i materialne wniosły do gigantycznych zmagań drugiej wojny światowej". W książce znajdujemy próbę odpowiedzi na jeszcze jedno pytanie, którego nie stawia sobie sutor w przedmowie, lecz z którym cały czas się pasuje: w jaki sposób użyliśmy te siły?

Zagadnienie pierwsze rozwiązano w sposób do przyjęcia i na ogół poprawnie. Czytelnik znajdzie w książce historię rekrutacji naszych sił na obczyźnie opracowaną na podstawie nieznanych dotąd materiałów urzędowych. Podano dostateczną ilość cyfr i wykresów oraz dość wyczerpujący opis zorganizowanego przekradania się naszych żołnierzy lądem i morzem najpierw do Francji, potem do W. Brytanii i Afryki. Gorzej przedstawiano warunki wyjścia Armii Polskiej z Rosji do Persji, ale w każdym razie przytoczono cyfry orientacyjne. Można powiedzieć, że dane z zakresu rekrutacji i jej rozmiarów przynoszą pożytek, bo wreszcie w dalszych pracach będzie można oprzeć się na źródłowych informacjach i wyciągnąć z nich morał nie byle jaki dla naszej wielkiej wojskowo-narodowej sprawności. Rola nasza i osiągnięcia w tej mierze w czasie drugiej wojny światowej są na pewno rekordem nie do pobicia. Byłoby np. rzeczą ciekawą przeprowadzić porównanie odbudowy sił polskich na obczyźnie z komunistyczną rekrutacją sił międzynarodowych dla czerwonej Hiszpanii, w czym tak duże zasługi położył Tito z siedzibą (podobnie jak i nasza, lecz nieco późniejszą) w Paryżu. Przypuszczam, że odkryłoby się wiele przeróżnych analogii, niewątpliwie na jakościową i ilościową niekorzyść Tity. W dygresji tej miałem oczywiście na myśli wyłącznie techniczną stronę zagadnienia.

W dziedzinie rekrutacyjnej autor obraca się dobrze i wiele kwestii wyświetla, choćby jeszcze wspomnieć bolące, wskutek przewrotnej kampanii komunistów, zagadnienie żołnierzy-Polaków z wojska niemieckiego. Po pewnym jeszcze rozszerzeniu tej sprawy i wszechstronniejszym omówieniu, nadawałoby się ono, jak i cała rzecz o odbudowie naszych sił, do wydania w obcych językach. Byłoby dobrą propagandą.

Oprócz rekrutacji sił zbrojnych istnieje jeszcze sprawa ich organizacji. Tę ostatnią autor zbywa bardzo pobieżnymi wzmiankami choć zresztą trudno wymagać, aby w niewielkiej książce porywał się na zgłębienie tego obszernego i może niezbyt ciekawego dla laika problemu. Ale przy tym braku od razu wysuwa się zarzut, że tytuł pracy jest zbyt obszerny. Należałoby zakres jej zwęzić i to czy, bodaj, nie do sprawy samej tylko rekrutacji.

Pozostałe dziedziny wypadły bowiem słabiej, a niektóre z nich poniżej wymaganego poziomu.

Tak naprzykład można by od biedy pogodzić się z kronikarskim przedstawieniem działań marynarki wojennej i lotnictwa, choć sposób ten nie daje właściwego pojęcia o wkładzie polskich marynarzy i lotników do zmagań ogólno-światowych.

Ale kompromis z autorem jest już bardzo trudny gdy dochodzi do opisów działań sił lądowych. Wykład o bitwach pod Monte Cassino i Falaise-Chambois, pomimo niewątpliwego pietyzmu z jakim autor do niego przystąpił, jest bezładny. O żadnej syntezie nie ma mowy. Sens bitew zupełnie nie wychodzi.

Wszędzie zaś tam, gdzie płk. Liebich, wcale nie "nieśmiało" (jak zapowiada w przedmowie), zabiera się na własną rękę do skomentowania pewnych zjawisk i wydarzeń — na kompromis z nim żadną miarą pójść nie można.

Z wielu, jeśli nie ze wszystkich, zupełnie chybionych sądów autora i to właśnie co do problemów najważniejszych, wystarczy przytoczyć choćby zagadnienie katastrofy wojska naszego we Francji w oświetleniu płk. Liebicha.

"Nie bacząc (!) na niższość uzbrojenia Francji — mówi on na str. 29 — i na niepokojące objawy jej niedość silnej zwartości moralnej, do maja 1940 r. nikt w obozie sojuszniczym nie dopuszczał możliwości klęski — tak piorunującej i całkowitej. Mędrcy, którzy dziś twierdzą że wszystko przewidzieli, powinni się byli przeciwstawiać samej idei odbudowy Polskich Sił Zbrojnych na ziemi francuskiej i z góry głosić hasło kapitulacji." Była powszechna wiara we Francję, ale za dużo byłoby powiedzieć, że "nikt" o jej siłach nie wątpił. Wiadomo, że w najbliższym otoczeniu generała Sikorskiego był człowiek, który zalecał ostrożność w angażowaniu naszych oddziałów podczas kampanii francuskiej. Zamiast słowa "nikt" należało poprostu powiedzieć, że generał Sikorski nie dopuszczał możliwości klęski Francji. Nie można mu z tego głębokiego przekonania robić zarzutu. Natomiast należy stawiać pytanie, dlaczego nasz naczelny wódz zaniedbał planowania na wszelkie ewentualności, nawet i na mało prawdopodobne? Cały tok dalszego rozumowania na temat spóźnionej i improwizowanej ewakuacji naszego wojska z Francji po takim postawieniu sprawy byłby o wiele prostszy, a przede wszystkim szczerszy. Oczywiście wniosek, autora, że "mędrzec", który przed majem 1940 r. przewidywałby był klęskę Francji, powinien był "przeciwstawiać się samej idei odbudowy P.S.Z. na ziemi francuskiej i z góry głosić hasło kapitulacji" — jest zbyt uproszczony, aby z nim polemizować.

"Forma, w jakiej jednostki wojska polskiego we Francji zostały rzucone do walki (to jest częściami w czasie i przestrzeni, przyp. sprawozdawcy), nie odpowiadała być może naszym ambicjom i oczekiwaniom, ale i tutaj najsurowszy nawet krytyk nie znajdzie znamion złej woli..." (str. 29). Jeszcze by tego brakowało! Gdyby też płk. Liebich zechciał przedstawić jedynie fakty bez swoich komentarzy, którymi niejednokrotnie może wygodzi "generałowi" Groszowi.

W dalszym ciągu swoich wywodów płk. Liebich powraca do sprawy braku przezorności po naszej stronie (który to brak poprzednio wyeliminował i "usprawiedliwiał") w następującym, nieoczekiwanym zwrocie: "że jednak po stronie odpowiedzialnych czynników polskich, przy najdalej posuniętej lojalności sojuszniczej, grała i rozwaga, najlepszym dowodem jest fakt, że gros Brygady (generała Maczka, przyp. sprawozdawcy) . . . pozostało na miejscu, nie wzięło udziału w beznadziejnej walce i niemal w całości zostało objęte ewakuacją do W. Brytanii". Jak kulą w płot! Część brygady gen. Maczka nie została użyta, bo nie miała sprzętu. Właśnie przezorność nakazywałaby użycie *całej* brygady, a nie improwizowane wydzielanie z niej do boju (jak to się stało pod presją naczelnego dowództwa francuskiego i tragicznego rozwoju wypadków) jej części, o wiele gorzej przystosowanej do walki, niż organiczna całość.

Wreszcie płk. Liebich jest skłonny "do odpowiedzi twierdzącej" na pytanie: czy nie można było bardziej ograniczyć wojska polskiego w działaniach we Francji (nawiasowo mówiąc autor nie ma słuszności nazywając kampanię francuską "bitwą o Francję"; była to kampania, podobnie jak we wrześniu 1939 r. w Polsce, złożona z szeregu bitew). "Wymagało to jednak bardzo wczesnego przestawienia się na tor klęski" — powiada. "Tego realizmu, który wówczas wydawał się defetyzmem, w pewnym stopniu zabrakło". Więc jednak i sam autor rad by dać do zrozumienia, że przecież i on był jednak (choćby częściowo) "mędrcem" w roku 1940.

Tego realizmu nie zabrakło Anglikom, którym jednak łatwiej było się nań zdobyć, niż nam. Jak opisuje Teodor Draper w książce *The Six Weeks' War in France*—lord Gort nie krył się z przekonaniem (mocnym z powodu poczucia, że się posiada zaplecze) o konieczności szybkiej ewakuacji sił z Belgii. Rząd brytyjski bardzo wcześnie zsolidaryzował się z jego poglądem. Co prawda: "Weygand niezwłocznie i szeroko rozwinął tezę odpowiedzialności brytyjskiej. Był on znacznie mniej rozgoryczony decyzją Leopolda, niż stanowiskiem Gorta. W stosunku do Brytyjczyków był nieustępliwy, co najmniej jakby sam zamierzał walczyć do ostatniego żołnierza brytyjskiego". Jest więcej niż prawdopodobne, że najmniejszy nasz gest w kierunku samoobrony byłby wykorzystany na naszą niekorzyść.

W "problematyce" dotyczącej kampanii francuskiej autor pomija sprawę zwrotu moralnego, który się dokonał w nas i w świecie po przeprowadzeniu przez Niemców dowodu, że Polacy ulegli we wrześniu nie tylko z powodu swoich wad i nieudolności, ale wskutek przemocy napastników i zrewolucjonizowania przez nich sposobu prowadzenia wojny.

Z przebiegu działań jednostek polskich we Francji autor daje bardzo ogólnikowy szkic, bo — jak mówi — "szczegółów na szczęście nie brak w naszej coraz bogatszej literaturze fachowej". Tak pisze na str. 31, zapomniawszy że na stronie 3 oświadczył: ". . . na skutek ubóstwa naszego piśmiennictwa wojskowego (wyjątki potwierdzają regułę) — znajomość faktów wśród szerokiej opinii jest raczej fragmentaryczna". Godząc te sądy można by rzec, że wojskowa literatura polska niezbyt wzbogaciła się ostatnio.

Problematyka w ujęciu płk. Liebicha wypada opacznie niemal wszędzie gdzie tylko podejmie to zadanie, wyraźnie przerastające jego siły.

W rozdziale "Walka podziemna we Francji", opisującym udział w nim Polaków, autor

podkreśla z nadmierną emfazą, że generał Sikorski zastrzegł w instrukcji dla kierownictwa tajnej organizacji we Francji (26.II.1943), że "zadania w zakresie akcji czynnej należy wykonać z możliwie najmniejszym uszczerbkiem dla żywych sił emigracji . . ." (str. 123) i na tej podstawie snuje refleksje co do nadmiernego szafowania krwią w Kraju, "boć byłoby samookłamywaniem się twierdzić, że — przy całym podziwie dla bezgranicznego bohaterstwa Armii Krajowej — niezależna opinia polska pochwala wszystko co się stało" (str. 123). Już tam, jak wiadomo, Francuzi a wraz z nimi i Polacy we Francji planowalii uniknięcie i uniknęli wcale dobrze "uszczerbku żywych sił" w czasie walki podziemnej, której punkt szczytowy, bardzo rozsądnie i planowo, wypadł na moment załamania się wroga. Zestawienie obu ruchów i nadawanie im tego samego poziomu nie wydaje się wcale odpowiednie. Wcale to nie znaczy, abym lekceważył wysiłek podziemny na zachodzie Europy — po prostu zdaję sobie tylko sprawą z ogromnych różnic jakościowych i ilościowych i okoliczności, które uczyniły z naszej akcji tragedię, a z ich akcji . . . działanie zakończone szczęśliwym rozwiązaniem.

Wystarczy tych kilka przykładów, aby uzasadnić surową krytykę "pewnego subiektywizmu w ocenie tych lub innych wydarzeń, zwłaszcza typu politycznego", na którą autor puścił się niebacznie pobudzony "atmosferą wolności słowa", która "zachęca do cywilnej odwagi w publicystyce" (str. 4).

Czego nam jednak trzeba to nie wątpliwej publicystyki, lecz rzetelnego przedstawiania faktów. Wiedza o nich należy się wszystkim Polakom. Po długich latach niedomówień, albo całkowitego przemilczania spraw objętych tajemnicą wojskową lub dyplomatyczną, spraw, za które wszyscy cierpieli, zapłacili mieniem osobistym i ogólnym, zdrowiem i życiem swoich najbliższych, — należy im się pełne sprawozdanie z tego, jak przedsiębiorstwo wojenne było prowadzone na każdym odcinku, w każdym dziale.

Skoro więc wyższy wojskowy, mający dostęp do urzędowych materiałów, zabiera się do wyłożenia tego jak wyglądał w czasie wojny polski wysiłek zbrojny "na obcej ziemi" — to żądamy od niego w pierwszym rzędzie, aby prosto z mostu przystępował do rzeczy i powstrzymał się o ile możności od dygresji w dziedzinie czy polityki, czy etyki, czy publicystyki, zwłaszcza gdy jest w nich tak niepewny jak autor omawianej książki. W szczególności czytelnicy oceniliby wysoko zwolnienie ich od obowiązku zaznajamiania się z pojęciami autora o honorze żołnierskim.

Dysertacje na temat honoru zajmują poważną część książki i często wstawione są w miejsca, które należałyby się uczciwym informacjom i dokumentacji.

O tę ostatnią autor nie dba, jakkolwiek cytuje wiele dokumentów, rozkazów i różnych wypowiedzi. Brak ten obniża jeszcze więcej poziom książki.

Bardzo niedobrze i przykro przedstawia się sprawa języka. Dziwaczna interpunkcja, pretensjonalność wyrażeń, żenujący patos, szablonowość stylu, pytania retoryczne, przemieszanie w narracji czasu przeszłego z teraźniejszym i przyszłym — oto najbardziej nieznośne wady.

Korekta przyzwoita.

Pomimo wszystkie braki, książka spełnia zadanie, bo narzuca konieczność gruntownego sprostowania jej i to jak najrychlejszego. W tym zmuszaniu do dyskusji tkwi może jej zasługa.

SETNY

WIT TARNAWSKI

NIEGDYŚ I DZIŚ SOMERSET MAUGHAMA

W. Somerset Maugham : THEN AND NOW. *London,* 1946. *W. Heinemann Ltd.*

SOMERSET MAUGHAM ma swoje ustalone imię w literaturze angielskiej i nietylko w angielskiej. Przenikliwy i ironiczny obserwator życiowych sprzeczności, mistrz prostego opowiadania, które przy całej swojej prostocie ma jednak czystość i szlachetny blask kryształu — Maugham uczciwie zasługuje na nazwę angielskiego Maupassanta. Każda niemal jego nowela czy powieść porusza jakiś ciekawy problem, jest podniecającym wglądem w życie i pozostaje na długo tematem rozmyślań.

Jeżeli jednak ostatnia jego powieść *Then and Now* (Niegdyś i dzisiaj) pozostawia czytelnika również w zamyśleniu — to już nie dzięki temu, co autor zdołał, ale raczej, czego nie zdołał w swoim utworze osiągnąć.

Przed kilkoma miesiącami ukazał się jeszcze jeden tom jego nowel : *Creatures of Circumstance* — ale jest to zbiór utworów pisanych przeważnie dawniej, tak że *Then and Now* pozostaje na razie ostatnim większym i typowym dla tego okresu twórczości dziełem Maughama.

Jest to historia amorów Macchiavelliego, zimnych, cynicznych i nieudanych, rzucona na tło wojny wszystkich przeciw wszystkim, która toczyła się we Włoszech za czasów papiestwa Aleksandra VI. Borgii, a która wielce przypomina obecny bałagan światowy. Stąd zapewne tytuł powieści *Niegdyś i dzisiaj*. Intryga jej jest dość prymitywna : niemłody, bezdzietny mąż — młoda żona — gładki dyplomata Macchiavelli, który postanowił piękną Aurelię uwieść, wykorzystując gorące pragnienie dziecka u obojga małżonków, — wreszcie młodzieniaszek Piero, któremu najniespodziewaniej przypada w udziale zdobycz omotana przez mądrego wuja. Słowem : przemyślne zachody miłosne nienajmłodszego już spryciarza, okpione przez głupią młodość.

Historia to jakby z *Dekamerona*, opowiadana tylko na błystkotliwą i mądrą modłę Maughama. A jednak Boccaccio opowiedziałby ją lepiej. Bardziej naturalnie i żywo. Maugham raczej chybia. Rozwiał się gdzieś, ustąpił z jego pism czar chwili obecnej, żywy czar stawania się zdarzeń — co dawny Maugham tak umiał na gorąco pochwycić.

Maugham starzeje się. To widać. Ostatnia jego powieść jest dziełem starej wyobraźni i starego serca, trzeba zresztą sprawiedliwie dodać, że również starego, doświadczonego i przenikliwego umysłu.

Niewątpliwie najciekawsze dla czytelnika jest w tej nieudanej powieści śledzenie przemian, jakich dokonuje starość w duszy ludzkiej. Bo nigdzie chyba nie można tak rozlegle, tak wnikliwie przyglądać się przemianom dziejącym się w człowieku, jak w utworze artystycznym, w którym artysta zawsze, chcąc czy nie chcąc, ujawnia siebie ludzkim oczom.

Powieść Maughama — ściślej mówiąc jej wewnętrzna struktura — wydaje mi się naprawdę jakby wykresem cech starości. Oczywiście starości pewnego określonego rodzaju, jaka nachodzi ludzi typu psychicznego Maughama. Bo starość jest zawsze zafiksowaniem i krańcowym uproszczeniem istniejących już w człowieku cech psychicznych.

Autorowi wyraźnie podoba się jego bohater Macchiavelli. W swej oschłej, przenikliwej, prowadzącej ciągłe rozgrywki postawie życiowej wydaje się on jakby sobowtórem i wyrazicielem postawy autora.

Dominujący objaw, który uderza w dziele starego mistrza, to nieobecność i niemal zupełne zamarcie pierwastków uczuciowych. Maugham patrzy na świat już tylko przez okulary swego cynicznego intelektu i życiowej przemyślności — esencji wielu doświadczeń. Tylko ta strona życia dla niego istnieje : umysłowe zawody mniej albo więcej bystrych ludzi. Żadnych prawie uczuć ani nawet nastrojów. Gra w szachy — chłodna, przemyślana, pełna podstępów — to jest życie. Przytym podejrzliwość wszystkich względem wszystkich — tak typowa dla ludzi starych. Maugham miał zawsze skłonność do umysłowego, suchego ujęcia życia. Z tego powodu właściwie nigdy nie rozumiał i nie lubił Conrada. Ale teraz intelekt stał się wyłączną sprężyną jego talentu. Reszta wygasła.

Mimo że *Then and Now* jest historią miłosną, nie ma w niej miłości, nie ma nawet prawdziwej namiętności, choćby o fizycznym podkładzie. Istnieją tylko chętki, choć mówi o nich szumnie, że "można by oddać za nie życie". Jest jedynie zimna lubieżność — częsty towarzysz oschłego intelektu. Starczy, wyblakły, bezwzględny świat.

Nie tylko miłość — także polityka jest w tej książce pozbawiona krwi i nerwów. Wszystkie dyplomatyczne perypetie Macchiavelliego z Borgią są w istocie rezonowaniem bez kresu, bez dynamiki i rozwoju.

Powieść obfituje w aforyzmy, najczęściej wypowiadane przez samego Macchavelliego : aforyzmy zawsze uderzające, choć niezawsze już nowe i oryginalne. Aforyzm to również forma wypowiadania się ludzi starych. Wyciąg dojrzałej mądrości.

Te same zjawiska starzenia się, co w treści, w poglądzie na świat uderzają i w technice pisarskiej. Są w tej powieści ustępy, w których wprost się widzi, jak palce świetnego niegdyś artysty grabieją. Są chwyty niedbałe i aż niedołężne — zwłaszcza w dziedzinie informacji historycznych podawanych w uproszczeniu, w niepomysłowej, kronikarskiej relacji jak podręczniku szkolnym. I tak jak starcy wracają do dziecinnych, czy wpojonych w dzieciństwie pojęć i form myślenia, tak stary artysta ma skłonność do wyzbycia się własnych cech stylu na rzecz stylu poprzedników — tych, których niegdyś czytywał, w których kręgu jego wyobraźnia przebywała we wczesnej młodości. Stąd Maugham, nowoczesny Maugham, staje się w swojej ostatniej książce potrosze Boccacciem, potrosze Walter Scottem, słowem gawędziarzem historycznym na modłę minionych stuleci.

Tyle dowiadujemy się z książki o autorze. W tym kierunku warto zawsze posondować. Często człowiek poza dziełem jest bardziej interesujący niż samo dzieło. Lecz zapytajmy z kolei, co zamierzał w swoim dziele wyrazić sam autor. Tytuł wyjaśnia : Niegdyś a dzisiaj. Nie ma nic nowego pod słońcem, wszystko w historii się powtarza — tyle, że w coraz potworniejszych wymiarach. Włochy 16-go stulecia, ze swoją wojną wszystkich przeciw wszystkim, podstępami, zdradami, okrucieństwami i nikczemnością — ze swoim szychem pięknych słów i gestów, za którymi kryje się łajdactwo, — ze swoją niepewnością jutra i niewiedzą, kto naprawdę przyjaciel a kto wróg, — ze swoimi sojuszami zmiennymi jak rękawiczki i miodową słodyczą niedotrzymywanych przyrzeczeń, — z problemami "neutralności i belligerencji" albo też złych i dobrych stron despotyzmu w zestawieniu

z demokracją, — te Włochy, to istna miniatura Europy z obecnej wojny światowej.

Ale i ten czołowy motyw powieści wydaje się raczej wynikiem przemyślenia aniżeli sugestywnego odczucia i wizji artystycznej. Zaś połączenie obu wątków: miłosnego i historycznego jest również sztuczne — brak tu zrośnięcia na żywo. Intelekt, już tylko intelekt tworzył wszystko.

A jednak nie wszystko zeschło, coś się ostało z tego pogromu dokonanego w uczuciach artysty przez nadchodzącą starość: miłość do sztuki i do rodzinnego kraju — i to jest może najciekawsza, najbardziej pobudzająca do rozmyślań obserwacja płynąca z tego utworu. Że ostała się miłość sztuki, o której kilka naprawdę świetnych uwag znajduje się w powieści — to może nic dziwnego u pisarza, którego całe życie było sztuce poświęcone. Natomiast problem, dlaczego Macchiavelli, cynik pozbawiony skrupułów, człowiek kupujący wszystko — ma przecież jeden skrupuł i jednego nie sprzedaje — swojej florenckiej ojczyzny, ten problem jest dziwny i zastanawiający. Świadczy to, że również pisarz, który przenicował wszystkie uczucia duszy ludzkiej, uszanował u kresu swych dni to jedno: miłość ojczystego kraju. W starym sercu bez złudzeń pozostało jedyne złudzenie. Czy jednak złudzenie — skoro tak uparte?

To też mniemam, że nie chybię, jeśli zakończę uwagi o tej cynicznej książce, wcale niecynicznym i zarmzem szczerze pięknym cytatem z jej ostatniego rozdziału.

Macchiavelli po wszystkich swych perypetiach miłosnych i politycznych wraca do rodzinnej Florencji. "Spojrzał. W oddali na tle zimowego nieba, blednącego wraz ze skłonem dnia ujrzał katedrę, dumną katedrę, zbudowaną przez Bramanta. Powstrzymał konia. Tam oto było miasto, które ukochał bardziej niż własną duszę. Była Florencja, stolica kwiatów, z jej kampanillą i baptisterium, z kościołami i pałacami pełna ogrodów i krętych uliczek: był Ponte Vecchio, którym chadzał co dzień dążąc do swego urzędu, był jego dom rodzinny i brat Toto i żona Marietta i grono przyjaciół. Tam było miasto, w którym znał każdy kamień, miasto o wielkiej przeszłości, gdzie urodził się on i jego przodkowie, miasto Danta i Boccaccio, miasto, co umiało walczyć o swoją wolność przez całe stulecia — Florencja — droga sercu, stolica kwiatów.

Łzy, napłynęły mu do oczu i stoczyły się po policzkach. Musiał zacisnąć szczęki, by nie zaszlochać. Bezsilna była ona teraz, rządzona przez ludzi, co zatracili odwagę, przeżarta zepsuciem, a ciż sami obywatele, którzy niegdyś porywali się z miejsca przeciw każdemu, co nastawał na ich wolność, umieli teraz troszczyć się jedynie o to, co można kupić lub sprzedać.

Wolna dzisiaj tylko z łaski francuskiego króla, któremu płaciła niewygodny haracz, broniona przez zdradliwych najemników, jakżeż potrafi oprzeć się napaści tego zuchwałego straceńca Borgii — ktory tak mało się z nią liczył, że nawet nie starał się ukrywać swoich złowrogich zamiarów. Los Florencji był przesądzony. Jeżeli nie ulegnie Borgii — to przyjdzie jej ulec komu innemu, może nie w tym roku jeszcze ani w następnym — lecz w każdym razie zanim ludzie dzisiaj młodzi się postarzeją".

Troska i niepokój wieją z tych pięknych zdań. Troska tak szczera, niepokój tak głęboki, że mimowoli nasuwa się pytanie: czy nie tai się w nich niepokój o własną ojczyznę pisarza? Czy właśnie w tych zdaniach nie przebłyskuje najżywiej przewodnia myśl utworu — że niegdyś jest tak dziwnie, tak zatrważająco podobne do dnia dzisiejszego?

WIT TARNAWSKI

WŁOCHY PO WOJNIE

Elizabeth Wiskemann: ITALY. *London, New York, Toronto*, 1947. *Oxford University Press*. Stron 160. Cena 5s.

W serii niewielkich, ładnie wydanych książek p.t. *The World Today* Oxford University Press ostatnio ogłosiła rzecz o Włoszech współczesnych pióra historyczki i publicystki E. Wiskemann.

Nie jest ta rozprawa wolna od błędów konstrukcyjnych, nie jest zgoła bezstronna (sympatie autorki są wyraźnie lewicowe), niewątpliwie nie daje wyczerpującego obrazu Italii współczesnej, jednak napisana jest żywo i inteligentnie, ze zrozumieniem i sympatią dla narodu włoskiego, a bez tego tonu wyższości, z którym niekiedy pisarze brytyjscy traktują sprawy związane z uboższymi narodami europejskimi. Czyta się więc pracę Miss Wiskemann z zainteresowaniem i nie bez pewnego pożytku.

Oczywiście w pracy o tak małych stosunkowo rozmiarach a tak rozległym temacie pewne skróty są nieodzowne, ale one właśnie często dodają wdzięku temu, co autorka pisze. Za reprezentacyjne i geniusz wybitnie humanitarny narodu włoskiego wyrażające duchy uważa Miss Wiskemann przede wszystkim św. Tomasza z Akwinu, św. Franciszka z Asyżu oraz Macchiavella.

Historia Włoch, wypełniona zrazu partykularyzmem ksiąstewek i republik miejskich, a później pozostająca pod znakiem dominacji hiszpańskiej i austriackiej, pozostawiła ślad w umysłowości włoskiej. Po dziś dzień zresztą istnieje wyraźna linia podziału między północą, zamożniejszą, społecznie i intelektualnie bardziej rozwiniętą, stosunkowo znacznie uprzemysłowioną, oraz południem wybitnie agrarnym, o większym odsetku analfabetyzmu i z tendencjami separatystycznymi.

Problem populacyjny wymagał rozwiązania i znajdował je na drodze wielkiego ruchu emigracyjnego (do Północnej i Południowej Ameryki) oraz mniej szczęśliwie i skutecznie na drodze ekspansji kolonialnej. W stuleciu część nadmiaru ludności znajdowała zatrudnienie w rozwijającym się przemyśle mechanicznym (zakłady Fiata), ekonomicznym (Montecatini), stoczniach okrętowych itd.

Autorka traktuje zjawiska życia kulturalnego, społecznego i politycznego, poprzedzającego powstanie i zapanowanie faszyzmu, dosyć szkicowo. Również i charakterystyka faszyzmu w jej ujęciu nie wypadła zbyt jasno i plastycznie. Autorka twierdzi, iż wbrew hasłom socjalistycznym faszyzmu wielkie koncerny przemysłowe zdołały umocnić swoją pozycję w życiu gospodarczym kraju i że między teorią państwa korporacyjnego a praktyką życiową istniał wielki rozbrat. Dotyczy to również stosunków agrarnych i faszyzm nie rozwiązał kwestii latyfundiów.

Odnosi się wrażenie, że autorka bilans faszyzmu w zakresie społecznym, gospodarczym i tecniczno-organizacyjnym przedstawia stronniczo, jakkolwiek nie popada ona w skrajność potępiania wszystkiego, co faszyzm zdziałał.

Bardzo ciepło Miss Wiskemann wyraża się o ruchu oporu, walczącym zarówno z Niemcami, jak faszystami i neofaszystami. Niektóre obrazki bohaterskiego i ofiarnego zachowania się uczestników walki podziemnej są wzruszające. Ale miara cyfr tych ofiar i poświęceń w porównaniu z hekatombami polskiego ruchu oporu jest skromna. Cóż bowiem znaczą w świetle męczeństwa i ofiarnictwa polskiego liczby 20 tysięcy zabitychi 40 tysięcy rannych patriotów włoskich?

W końcowych rozdziałach autorka kreśli obraz kotłowiska politycznego, jakim są Włochy powojenne. Jakkolwiek wpływy partji społecznie radykalnych są znaczne, lud pracujący — zdaniem autorki — nie dba o spory między przywódcami socjalistycznymi i komunistycznymi: "Chociaż domagają się ministrów z partii marksistowskich, marksiści ci kochają Chrystusa i św. Franciszka" (str. 144). Autorka podkreśla, iż lud włoski nie jest brutalny i gwałtowany, przeciwnie wierzy w prawa ludzkie i w sprawiedliwość chrześcijańską. Jeśli dodać do tego, że katolicka Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna jest najsilniejszym ugrupowaniem politycznym, wróży to dobrze ewolucji wewnętrzno-politycznej Włoch po niedawnych konwulsjach, spowodowanych klęską zewnętrzną państwa i zmieceniem z powierzchni systemu faszystowskiego.

(m.ost.)

POŻYTECZNE KOMPENDIUM

St. Andracki: WIELKA BRYTANIA. USTRÓJ, INSTYTUCJE, ŻYCIE CODZIENNE. *Londyn*, 1947. *Earls Court Bookshop*.

W czasie wojny ukazało się sporo rozmaitego rodzaju informatorów o Wielkiej Brytanii przeznaczonych dla Polaków. Nosiły one jednak charakter przeważnie polityczno-propagandowy i okolicznościowy. Po wojnie ukazało się parę małych i fragmentarycznych informatorów o chwilowym i ograniczonym przeznaczeniu. Nie było dotąd porządnego informatora dającego wiadomości zarówno o instytucjach brytyjskich jak o obyczajach i—urządzeniach dnia bieżącego. Lukę tę stara się wypełnić, i powiedzmy od razu, że zamiar ten spełnia, nowe wydawnictwo pt. "*Wielka Brytania*" pióra p. S. Andrackiego.

Żałować należy, że książka ta nie ukazała się rok temu, gdy wielka ilość Polaków napływała na te wyspy i poszukiwała rzeczowej informacji. Dziś zapewne książka nie rozejdzie się w takim nakładzie jak powinna. Nie znaczy to by miała ona dziś być nieaktualna: przeciwnie oddać ona może wielkie usługi nawet komuś zamieszkałemu od lat w Anglii. Na 272 stronach autor podaje zwięzłe informacje statystyczne, ustrojowe, objaśnia praktycznie ustroj sądownictwa, system szkolny, działanie wyznań religijnych, prasy, głównych stowarzyszeń społecznych, samorządu. Streszcza przepisy o cudzoziemcach wraz z czysto praktycznymi informacjami. Wskazuje sposoby pisania listów i zachowania się, omawia właściwości systemu komunikacyjnego, obyczaje związane ze sportem, bibliotekarstwo, system bankowy i pocztowy. Bardzo użyteczny może być rozdział o podatkach, gdzie podane są wymiary podatków, sposoby ich obliczania, tabele, sposoby pobierania podatków wszelkiego rodzaju. Osobny rozdział traktuje o ubezpieczeniach społecznych. Zamyka całość rozdział o instytucjach brytyjskich dla Polaków tj. Treasury Committee, Resettlement Corps i towarzystwach przyjaciół. Tom zaopatrzony jest w skorowidz najpospolitszych skrótów angielskich, w spis nowszej literatury o Wielkiej Brytanii i skorowidz rzeczowy.

Książka posiada charakter kompendium ułożonego sensownie i praktycznie. Pisana ona jest dla człowieka z pewnym wykształceniem, dla człowieka prostego mogłaby być zbyt trudna. Nieoceniona dla oficera opieki, wygodna w domu rodzinnym.

P. J.

JERZY PIETRKIEWICZ

BŁĘDNY RYCERZ

(Poemat o Matce Boskiej)

Potrójne motto :

"*Crux fidelis, inter omnes arbor una nobilis,*
nulla talem silva profert fronde, flore, germine ..."

(Fortunatus: "Pange lingua gloriosi")

* * *

"*My loue abydeth, thyne ys away* ;
My loue the calleth, thow stelest me fro ;
Sewe to me, synner, I the pray,
Quia amore langueo."

("Quia amore langueo")

* * *

"*O angiele*
Gabryjele !
Gdzie jest ono twe wiesiele,
Cóżeś mi obiecował tako barzo wiele?"

("Żale Matki Boskiej pod krzyżem")

I.

Było to dawno temu,
tak dawno, że nawet powietrze
spróchniało i chorą rdzą
złuszczyło pamięć studzien i bram.
I odtąd echom w studniach niemo,
w bramach liszaje po prętach się pną,
a czas wypada z popękanych ram.

Było to w umierające popołudnie,
za panowania gwoździa i młota,
kiedym wbijał jęk w drzewo, zalepiał nieswoją krwią,
pod rozkazem przycupnięty obłudnie.
Mnie nie po trzykroć koguty piały na płotach,
lecz po tysiąckroć.
Mnie żaden wzrok niewieści nie przekupił łzą,
bom był posłuszny jak pokłon
prawom bicza i gwoździa i młota.

A oto czas, wypadły z ram,
rozsypał się u moich stóp — i stoję sam.
Za plecami cień mściwy: Golgota.

II.

Inni wywiesili swój wstyd na szubienicy
jak flagę klęski,
inni cofnęli się w lęk, w ustronie łez.

Ja wolałem puls zdusić w żelaznej rękawicy
i ślepnąć pod przyłbicą—dufny, twardy, męski,
słowo przekułem na gest.

Ach, czemuś spojrzała na mnie, Smutna Pani,
i lilią uczyniła gest niepokalany,
że dla tej lilii i dla Twego smutku
ruszyłem w apatyczną noc
pod obserwacją krogulczych sosen,
podawany od echa do echa,
jak klaskająca o ciszę łódka.

I drogi mnie czekały cierniem podkute, piachem bose,
i zagaje, gdzie nawet wiatr błądzić zaniechał.
Lecz Pani Smutna mnie wysłała
na wędrówkę — i lilią żegnała,
otulona czereśniowym sadem.
Więc dokoła tęsknot własnych jadę.

III.

Wilki skaczą do białego gardła
lękliwej zimie,
a mnie do krtani skacze przypomnienie,
wżera się w przeczuć tętna.

I każde w lesie drzewo staje przy mnie,
na krzyż układa wychudłe cienie,
przez cienie kły gwoździ pamiętna.

O, Święta,
lilijna Pani,
Która mi każesz być błędnym rycerzem,
rzuć uśmiech dzwonka z nieścigłych sani,
a zasieję w śladach płóz pacierze
i ślepiami wilków ciemność wymierzę
bez trwogi.

Ty bestie odganiasz gromnicą
od gardła zimy
i płozami kierunki wtłaczasz w miałkie drogi.
Nieba przychylasz zdrętwiałym kalenicom,
a chmurom zawierzasz dymy.

IV.

Któryś wędrował dokoła tęsknoty,
czy wiesz gdzie litość się kończy,
czy wiesz na jakim południku serca
leży Golgota?

Mówić ? Odpowiedź każdą wywęszą wiatry — psy gończe,
nawet głos sobie rzuci w twarz echo. Echo — szyderca
do wtóru klaśnie skałom, ruinom,
co się złuszczyły wstydem i winą,
napiętnowane głośno przez słońce.

Na każdym południku serca
stoją trzy krzyże.
Od wschodu pychy na zachód wiary —
zasianym w śladach płóz pacierzem —
za ślepiem wilczym, co ćmi jak ogarek,
jadę — trubadur pobielany słońcem —
i faryzejskie wiozę ofiary,
o świętość lilijną zazdrosny.

A Pani Smutna drzazgi z rąk Syna
wyjmuje lekko i w lilię wpina.

V.

Te drzazgi w lilii —
ta biel kolczasta.

W poszukiwaniu bólu
adę więc ?
j
Wilki na zaspach wilii
podają sobie ślepiami znaki,
uszy ku dzwonkom sanek tulą,
gdy mróz na sosnach jeży sopliste kołpaki,
a w oknach marszczy krzaczaste brwi.
Słabym jak cisza. Od ciszy mdli.
Od bieli w oczach głodnych czczo.

Czy przyjdziesz wreszcie, Smutna Pani,
zerwać rycerską przysięgę
jak płatek, użylony krwią ?

Dlaczego każdą miłość drzazga podskórna rani —
i nawet pamięć spróchniała gwoździ krzyżowych sięga ?

Przyszła. Z drzazg w lilii wykrzesała ogień gromniczny.
Śmierć jak próg. Ślepia wilcze pogasły za progiem.

JERZY PIETRKIEWICZ

Chelsea, grudzień 1947 *r.*

ERRATA

Do wiersza p.t. *Jeśli tę rękę*, drukowanego przez *Myśl Polską* w zeszycie grudniowym, zakradły się omyłki druku, które niniejszym prostujemy. Cytujemy więc dwa fragmenty wiersza Witolda Nowosada w brzmieniu prawidłowym:

Gwiazdy daleko — zimne ręce śmierci
Przepaści wabią jak usta płonące
Jesteśmy sami . . .

. . . .

Lecz w ciszy słyszę niedosiężną pieśń
Szumi jak wino rozwiane zwycięstwo
Dąb wyrósł wyżej i trwa i trwa,

Każdą nienawiść powalił i zepchnął,
A o północy wierzy w wielki dzień
Ufamy wszyscy: brat i ty i ja . . .

KULTURA I ŻYCIE

Plany J. A. Ranka — Odcięci od Ameryki — Pomieszanie folkloru — Dublin w Londynie — Cervantes na Inverness Terrace

Polityka finansowa Ranka opiera się nie tylko na produkcji filmów, ale i na rozprowadzaniu ich poprzez własne kinoteatry. W ten sposób zwiększają się zyski. Widząc na przedmieściach londyńskich nazwę "Odeon", powtarzającą się aż do znudzenia w miastach prowincjonalnych, możemy sobie bez trudu uświadomić, jak daleko posunięta jest centralizacja filmowa w tym kraju. Ostatnio biuletyny brytyjskie donoszą o rozszerzaniu się angielskiej sieci dystrybucyjnej na kraje poza Wielką Brytanią. Dość wymienić 115 kin w Australii, 138 — w Kanadzie, 130 — we Włoszech, 143 — w Nowej Zelandii, 130 — w Południowej Afryce, 16 — w Irlandii (Eire), 12 — w Holandii.

Dochody z tych teatrów zwiększają skąpe zasoby obcych walut i pozwalają zcentralizowanym firmom zarówno na bardziej intensywną produkcję, jak i na rozszerzanie rynków zbytu. Tym niemniej A. J. Rank niepokoi się o losy filmu brytyjskiego w przyszłości (ostatnio pisano w prasie o deficycie jednego z większych towarzystw, wchodzących w skład organizacji, i wymieniano film *Cezar i Kleopatra* jako niefortunną imprezę finansową). Bez dopływu obrazów amerykańskich planowanie tego typu (produkcja wsparta dystrybucją) potyka się coraz częściej z paradoksami.

* * *

Przedstawicielstwa firm amerykańskich wypuszczają z powrotem na rynek stare filmy, jak np. *Przeminęło z wiatrem*, tymczasem ilość nowych obrazow, wysyłanych z Hollywood, jest znikoma, grożąc tutejszej publiczności zupełnym odcięciem od Stanów Zjednoczonych. Wiadomości zza Oceanu nie przynoszą nazbyt pocieszających wiadomości, tym bardziej, że nowe filmy wciąż posługują się ogranymi efektami. Zapowiedzi przyszłych filmów (np. przez towarzystwo *Universal-International*) ograniczają się do tytułów i nazwisk, — trudno więc na nich opierać jakiekolwiek sądy czy przypuszczenia. Może jednak warto podać kilka bardziej interesujących tytułów: *The Exile* (z Marią Montez) *Letter from an Unknown Woman* (z Joan Fontaine), *A Double Life* (z Ronaldem Colmanem).

Inne informacje z Hollywood podają, jak zwykle, zawrotne cyfry, ilustrujące wydatki przemysłu filmowego Ameryki (np. 706.000.000 dol. na płace, a 6.750.000. dol. na kupno praw autorskich).

* * *

Alan Ladd, typ bohatera w stylu bardzo amerykańskim oraz Veronica Lake, piękność w stylu bardzo amerykańskim, występują w nowym filmie pt. *Saigon*, gdzie wiązanka typowych przygód ma posmak psychologiczny (chodzi tym razem o przyjaźń), ale — niestety — z mocną dawką naiwności.

* * *

Nie mogąc wpływać poprzez swoje filmy, Ameryka zalewa Wielką Brytanię sztukami teatralnymi (do sukcesów należy operetkowa ramota pt. *Oklahoma*). Egzotyka pociąga publiczność angielską, ponieważ sztuki te grane są przez trupy amerykańskie.

Najwięcej egzotyki widać w okrzyczanej historii o prostytutce (*Anna Lucasta*), którą przedstawiają z pasją aktorzy murzyńscy (szczególnie Hilda Simms jako Anna). Ta pasja aktorska nie jest łatwa do oceny krytycznej: należałoby spytać właściwie widza murzyńskiego co sądzi o tego rodzaju grze. Akcent, gestykulacja i ruchy czarnych aktorów pozostają w dużej mierze poza zasięgiem naszych pojęć teatralnych: stąd wrażenie egzotyki i stąd aura szczerości, choć sceptyk mógłby łatwo zlekceważyć zarówno osobliwość, jak i ów narzucający się autentyzm sztuki.

Anna Lucasta ma bowiem autentyzm względny. Po pierwsze nie jest to sztuka w zamierzeniu murzyńska. Autor jej, Philip Yordan, napisał swój melodrat wedle utartych wzorów naturalistycznych, dając mu za tło środowisko polskie w Stanach Zjednononych. Producenci teatralni wykazali początkowo zupełną obojętność wobec tak tła, jak i wobec tematu. Dopiero trupa murzyńska zainteresowała się utworem Yordana, przekoloryzowała atmosferę — i rzuciła publiczności, złaknionej motywów egzotycznych, rzecz o dobrze utrzymanym nastroju i o dobrze rozplanowanych typach scenicznych, przekonywając widownię nowym sukcesem. Nawet mało krytyczny widz dostrzeże w końcowych scenach *Lucasty* mocno zalukrowaną psychologię i nie zgodzi się na uproszczoną motywację czynu ojca Anny, — tym niemniej folklor murzyński spaja sztukę doskonale i trzyma nas w napięciu, zamazując wszelki krytycyzm.

Czyżby to więc był sukces, wypływający tylko z przypadkowego pomieszania folkoru? Jak wyglądałaby banalna historia Anny Lucasty w oryginalnym wydaniu polskim? Może ktoś pokusi się w przyszłości o przeprowadzenie eksperymentu i odsłoni prawdziwe źródła tego osobliwego sukcesu.

* * *

Krótka wizyta irlandzkiej trupy teatralnej (*Dublin Gate Theatre*) w Londynie (w teatrze na Swiss Cottage) pozostanie w pamięci tutejszej publiczności. Było to naprawdę wydarzenie artystyczne! Tak znakomitej gry nie widzi się często w West Endzie. Oglądając *John Bull's Other Island*, jedną z bardziej szczerych komedii Bernarda Shawa, obcowało się z psychiką każdego aktora: tonacja gry trupy irlandzkiej dawała każdej scenie sens architektoniczny, a jednocześnie zachowywała ciągłość i jednolitość komedii. Poglądy Shawa na własną ojczyznę należą do szczególnie interesujących: jest w nich tyle samo ironii, co i sentymentu. Shaw, potrącający o poezję, przestaje być satyrykiem, choć zachowuje ziarna sceptycyzmu, ziarna, na szczęście, bez plew.

* * *

W *Hogar Espanol* na Inverness Terrace święcono dnia 29 listopada rocznicę Cervantesa. Departament Ameryki Łacińskiej BBC udzielił tej imprezie swoich aktorów, którzy — szczególnie w *entremes* Cervantesa *La guarda cuidadosa* — osiągnęli wysoki poziom gry (Manuel Andres jako Żołnierz). Wygłoszony po angielsku odczyt Jacka Lindsaya o uniwersalności Cervantesa może nazbyt podkreślał społeczne elementy jego twórczości. Obecność międzynarodowej publiczności na sali była najlepszym świadectwem, jak międzynarodowy jest kult autora *Don Kiszota*.

Z innych imprez artystycznych w Londynie należy wspomnieć o wystawie obrazów Van Gogha w Tate Gallery.

J.P.

Londyn, 18 *grudnia* 1947.

KONCERTY ANDRZEJA WĄSOWSKIEGO

Dnia 26 grudnia, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, odbył się pierwszy recital fortepianowy przybyłego ostatnio do W. Brytanii Andrzeja Wąsowskiego. Recital ten miał raczej charakter zamknięty, ograniczył się bowiem wyłącznie do polskich słuchaczy, zgromadził jednak paręset osób.

Wąsowski jest wojennym zjawiskiem artystycznym. Zna go doskonale Warszawa w czasie okupacji, kiedy to polską kulturę muzyczną podtrzymywali artyści na tajnych koncertach. Wąsowski zyskał wtedy entuzjastyczne przyjęcie zarówno ze strony kolegów pianistów, jak też i krytyków muzycznych. Na krótko przed Powstaniem miał występ publiczny na cele charytatywne w sali Lardellego.

Znalazłszy się poza granicami kraju, rozpoczyna występy publiczne od Włoch, podbijając doskonale wyrobionych muzycznie słuchaczy włoskich. Potem następują koncerty w Wiedniu, Paryżu, Brukseli.

Słuchając Wąsowskiego, stwierdzamy z rzadką satysfakcją, że przynajmniej jedna dziedzina sztuki polskiej, fortepian, z jego bogatą skalą twórczości polskiej i europejskiej — jest reprezentowana bez przerwy przez artystów o najwyższym poziomie. Wąsowskiemu bowiem do wielkiego nazwiska światowego brakuje już dziś tylko i jedynie — reklamy. (T).

Treść Nr. 118 (*Rok VIII, Nr.* 1) "Myśli Polskiej."

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja: 8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półrocznie (6 numerów) 12s. lub $4.
Prenumerata rocznie (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub $8.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1. January, 1948.